cena zł 1.50

WYMIARY 12

miesięcznik społeczno-literacki

Wydawnictwa rok drugi, czerwiec-lipiec 1939

PACYFISTA PRZECHODZI DO ROLI CZYNNEJ

Aura Wyleżyńska

Georges Duhamel, wyszedł z wielkiej wojny, którą obserwował jako lekarz. Wyrazem protestu przeciw jej okrucieństwom była książka „Żywoty Męczenników". Spełniwszy to zadanie przez długi czas uważał, iż pisarz stać winien poza polityką mając wgląd w sprawy świata jedynie z punktu widzenia kulturalnego.

Toteż zaskoczył krytyków i publiczność charakterem ostatniej swej pracy*. „Memoriał o białej wojnie 1938 r." jest zbiorem artykułów pisanych od lipca do grudnia 38 roku. Ogłosił je z pewną obawą, zaznaczając, iż pisma polityczne nie znoszą powolności druku, wypadki szybciej od nich biegną. Istotnie, niemniej świadectwo pozostało żywe i cenne, zarówno ze względu na specjalne oświetlenie faktów, jak też na samego autora.

Duhamel przez kilkanaście lat, gdy granice stały otworem, podróżował w charakterze „Francuza, obywatela Europy". Trzyma się jednak z dala od bieżących przemian we własnym kraju, oponuje przeciw łączności pisarzy z Frontem Ludowym. Dopiero przed trzema laty będąc w południowej Ameryce na kongresie Pen Clubu zobaczył próby propagandy hitlerowskiej wśród ludzi, pragnących pokoju. Szerzenie totalistycznej gorączki na jednym terenie zwróciło jego oczy na zgubne skutki hitleryzmu wszędzie. Na razie zaczął się interesować tym problemem jako bezstronny obserwator, później zrodziła się w pisarzu potrzeba własnego oświetlenia palącej sprawy, najpierw w formie pojedynczych odruchów, potem przez ujęcie ich w całość.

W rozważaniach Duhamela z grubsza rozgraniczyć należy dwa tematy: Hitler i Francja wobec wytworzonej przez Führera sytuacji. Duhamel nie mówi o Niemczech, wyraźnie podkreśla, że chodzi mu tylko o obecne rządy. Zarówno w czasie wielkiej wojny jak i potem nie występował przeciw narodowi. W szpitalu z całym zaufaniem brał do pomocy jeńców z obozów koncentracyjnych, chlubi się, iż w grozie największej klęski nigdy nie użył pogardliwej nazwy „boche". Następnie kontakt jego z ogółem Niemców zacieśniał się za pomocą odczytów, z jednostkami dzięki osobistym spotkaniom i korespondencji. „Uparty wytwórca współpracy i zgody", wychowany w kulcie wielkich duchów całego świata, do niedawna głosił „szczere pojednanie". Stanowisko jego wobec narodu niemieckiego nie jest wrogie, nawet nie zarzuca mu bierności, zapewne sądząc, iż stosunki jakie się wytworzyły w „Republice Kolegów" muszą rozgrzeszyć z braku prób jawnego oporu. Hitlera stara się oświetlić bezstronnie, nie jako nacjonalista, ale bystry obserwator. Przyjrzyć mu się, w większej mierze przysłuchać, bo bardzo poznaje się go z żywego kontaktu, płynącego na fali eteru, aniżeli z myśli skrystalizowanych w piśmie.

Głos Führera łka i pali. Zdyscyplinowany tłum bije oklaski. Jakże w tym zgiełku rozstrząsać można zawiłe sprawy pokoju? To jest ekshibicjonizm, mówca sam się nim upaja. Pozornie dyktator, w gruncie rzeczy niewolnik na usługach niewolników. Duhamel próbuje słowom odebrać ich zewnętrzny walor, zbliżyć się do spokojnej oceny. Ale z każdorazowego podsłuchu, z dialektycznie doskonale ułożonych zdań rośnie postać demona ciemności. Wrażliwe ucho wychwytuje nutę najbardziej rażącą duszę ludzką, nutę zniewagi. W „Mein Kampf" polityka Hitlera opierała się na brutalnej szczerości, obecnie (wrzesień 38 r.) ucieka się do perfidnych chwytów, dotąd używanych w rozgrywkach wewnętrznych, jeszcze nie wprowadzonych do międzynarodowych zatargów.

Bractwo Św. Łukasza — Unia Lubelska

Duhamel nie łudzi się. Hitler dobrowolnie nie zatrzyma się w drodze. Aby nie stracić władzy musi wciąż iść naprzód. Zapewne. Wielu bohaterów nie umiejąc zakreślić granic swym dążeniom stało się tyranami, tym bardziej los ten czeka człowieka, który upojony podbojami sam w sobie rozpętał burzę.

Sprawa Czech jest, rzec by można, bliska osobistej sympatii Duhamela, i stąd wszystko, co o niej wychwytuje ze słów Hitlera, razi i boli go nie tylko jako humanistę, lecz też jako przyjaciela czeskiego narodu. **Protest Duhamela przeciw zajęciu wolnego kraju jest sprzeciwem człowieka ceniącego niezależność swej ojczyzny. Łatwe bowiem uznanie utraty cudzej niepodległości to pierwszy akt do sankcji własnej niewoli.**

Duhamel oburza się na nieszczerość oświadczeń Hitlera, który nie miał odwagi brutalnie wyznać prawdy. Podnosi naiwność Czechów, gdy po zajęciu Sudetów łudzili się, iż teraz odetchną swobodnie, będą „entre nous". Ostrzega przed grożącym niebezpieczeństwem: „nie zostawią was wśród swoich i w spokoju". Już we wrześniu jasno widział jak ułożą się stosunki. „Nie ma, woła indywidualista francuski, obozów pracy bez obozów koncentracyjnych". Nawet dobrowolne poddanie się nie zabezpieczy od wojny. Jeśli chodzi o Niemców Sudeckich, to Hitler wyraźnie zapowiedział „wydobyłem broń w waszej

* „Memorial de la guerre blanche" Mercure de France 1939.

sprawie, gdy przyjdzie konieczność, będziecie to musieli uczynić — we wspólnej sprawie".

W wyniku tych rozważań, Duhamel, który miał opinię pacyfisty, rozprawia się z „monachijczykami". Ułudą jest, iż pokój warto okupić choćby obcym panowaniem. Jeżeli chodzi o państwa, nie będzie to pokój, tylko zawieszenie broni, co się zaś tyczy jednostek nie wystarcza chcieć żyć za wszelką cenę, aby móc żyć wedle woli. Każdej chwili wszyscy wciągnięci być mogą w krąg wojny bez wyboru przeciwnika.

Céline z właściwym sobie cynizmem wyśmiewa Pragę, Duhamel nie potępia narodu, który wydał tylu wielkich muzyków i poetów. Ma kult dla Masaryka, znał go osobiście, wysoko ceni Benesza, uważa, iż zasługuje na hołd świata, „bo nie chciał być sługą siły". Jest jedna jeszcze przyczyna, dla której Czechy bliskie są pisarzowi francuskiemu. Przez kraj ten biegnie „linia Descartes'a". Tak obecny przewodniczący Alliance Française nazywa łańcuch ognisk kultury francuskiej, których było w Czechach więcej aniżeli w innych krajach. Obecne jednak stosunki nie przyczyniają się do ich promieniowania — jeśli w ogóle nie zagaszą świateł.

A teraz, jak w tym zamęcie wygląda rola Francji i zadanie pisarza? Duhamel, mniej surowy dla swych rodaków od Montherlanta, który w błyskotliwych paradoksach wyszukuje tylko małość i słabość, troskliwie rozważa potrzebę zmian. Widzi konieczność przeorania podstaw dotychczasowego myślenia, głosi potrzebę odrodzenia moralnego. Odwołuje się do idealnego zespołu narodu. W ogólnym podniesieniu ducha wielką wagę posiadają pisarze. Bez zapuszczania się w dżunglę polityki, zdając sobie sprawę ze swej wagi i obowiązku kształtować winni opinię.

Przejąwszy się tą rolą, odwołuje się do wyobraźni Francuzów, do skutków jakie pociągnąć może dyplomatyczny Sedan-Monachium, także do ich humanitarności. Przypomina, iż Europa jest w stanie grzechu śmiertelnego, jak była nią po rozbiorach Polski.

Od chwili powstania omawianych artykułów zaszło wiele nowych wypadków, żaden jednak nie zaprzeczył przewidywaniom Duhamela, wiele potwierdziło obawy. Niemniej książka nie jest bezapelacyjnie pesymistyczna.

Gdy Trzecia Rzesza chcąc stworzyć ludzi silnych i zdrowych, szuka jakiego by w nich tchnąć ducha, Duhamel twierdzi, iż każdy będzie fałszywym ersatzem. Istotny duch narodu schronił się na wygnaniu lub milczy w niewoli. Przyjdzie jednak we właściwej chwili do głosu. Choć z drugiej strony Duhamelowi, jak wszystkim demokratom, coraz trudniej rozumować kategoriami starej daty, wiarą, iż na końcu ponurego horyzontu leży moralne zwycięstwo. Jak w to wierzyć, skoro tanki i mitraliezy potrafią wszystko zniszczyć? Czy imponderabilia będą szanowane, skoro jednak dziś dotrzeć do nich można za pomocą gazów. Ponieważ Pamiętnik stanowi zbiór rozmyślań, są więc w nim odpływy i przypływy jaśniejszych myśli, zmaganie się autora ze samym sobą to piękne karty odsłaniające ból wielu jednostek. Gdzie indziej więc przypomina, iż zawsze i wszędzie ślady podbojów zostały zatarte, ślady zaś duchowych posunięć pchnęły ludzkość naprzód.

Zresztą przez sam fakt oparcia się Duhamela — i Francji — skutkom białej wojny, równie pełnej ofiar i ruin jak wojna krwawa, wówczas kiedy świat jest oddany „wściekłym i szaleńcom", kiedy w pozornym porządku panuje nieład, kiedy w czasie pokoju gwałci się własne zobowiązania — dotąd gwałcone z chwilą wypowiedzenia wojny — jednym słowem przez zajęcie postawy czynnej Francja dowiodła wielkiej swojej siły wewnętrznej.

Książkę kończy apostrofa do pisarzy francuskich dyktująca ostatnim Mohikanom zachodniej kultury ważne, w tak ciężkich czasach, obowiązki. Niech dołożą wszelkiego wysiłku, aby utrzymać się przy tym, co jest najważniejszym dobrem: swoboda myślenia, marzenia i pracy w spokoju.

Duhamel w publikacjach powojennych dał świadectwo swojej epoce — bez zamiaru propagowania pewnych idei, obecnie szuka rozwiązania aktualnych zagadnień, albowiem uważa, iż nadszedł czas, gdy pisarz z biernej roli przejść musi do czynnej.

ŚWIATOPOGLĄD RECENZENCKI

Ignacy Fik

I

Przepisuję stale powtarzający się manifest jednego z tygodników literackich: „Wszystkie książki nadsyłane do redakcji są odnotowywane w specjalnej rubryce. Recenzje zamieszczane będą jedynie z wydawnictw nadsyłanych bezpośrednio pod adresem W. L. a nie ich współpracowników. O egzemplarze recenzyjne redakcja W. L. w żadnym wypadku nie będzie się ubiegała. Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach".

I oto wyobrażamy sobie taką tragiczną dla historii literatury polskiej możliwość: Trzy główne firmy wydawnicze, skupiające w ręku 90% produkcji książkowej, pogniewały się z redakcją największego magazynu literackiego i przestały wysyłać do redaktora egzemplarze recenzyjne. Albo nawet nie bądźmy tak pesymistyczni. Powiedzmy, postanowiły być oszczędne i wysyłać do redakcji tylko po jednym egzemplarzu. Otóż okaże się momentalnie, że literatura polska przestała istnieć. Jedynie raz na miesiąc ukazuje się tomik wierszy drukowany nakładem własnym autora, skrupulatnie przesyłającego swą twórczość w trzech (na wszelki wypadek) egzemplarzach, i odnotowany w specjalnej rubryce w ostatniej kolumnie między napisem: „mój nos już się nie błyszczy", a dowcipnym wycinkiem z camery obscury: „ogon który wraca". Poza tym nic.

Co prawda nawet w Bibliotece Narodowej dyrektor przypilnował przed miesiącem, by zaciągnięto do katalogów rewelacyjną książkę (trzy razy o nią urgowano opieszałą drukarnię) ukazującą się już w czwartym wydaniu, lecz trudno przecie uwzględnić tę pozycję, skoro nie wysłano *bezpośrednio* pod adresem redakcji W. P. dwu egzemplarzy. A redakcja w *żadnym wypadku* nie będzie się o nie ubiegała!

Bo przecie po co pisze się książki? Żeby pan redaktor mógł zebrać ładną bibliotekę (pierwszy egzemplarz), nie tracąc równocześnie satysfakcji z obdarowywania znajomych kulturalnymi podarunkami (drugi egzemplarz). Kto ten zbożny pomysł zacznie bojkotować, wymazany zostanie z literatury. „Mówi pan, że istnieje taki autor? Jakto? Niech pan pokaże jego książkę w naszym składzie! No widzi pan, nie ma! Logiczny wniosek: literatura nie zna takiego nazwiska!".

Schodzi się kilku ludzi i stara się zrobić coś dla kultury polskiej. „A jakbyśmy tak zrobili taką książkę, z której można by się dowiedzieć o każdym wielkim człowieku współczesnym. W Anglii to bardzo idzie!" Plan jest przyjęty z entuzjazmem. Ale zaraz trudność: skąd mieć te wiadomości o ludziach? Szukać? pytać? sprawdzać? To dobre dla jakichś robotów od zielonego biurka. Prościej: przyjąć trzy maszynistki, wziąć księgę adresową i wszędzie wysłać ankietę. Wielcy sami się znajdą i sami o sobie napiszą.

Wynik? Czy jest w Polsce Grabski Wł., Przyboś, Ingarden, Łempicki, Wasilewska, Kucharski E.? Zaraz zobaczymy w naszej księdze p. t. „Czy wiesz kto to jest". Nie, nie ma takich! W każdym razie nie odpisali na nasz list. Nie przyszła do nas góra, to my Mahomeci przecież nie będziemy się trudzić. Nie nasz interes. Przecie nosy są dla tabakiery, a nie przeciwnie!

Rozmawiam ze znanym krytykiem. „Mój plon tegoroczny? 280 recenzji! O 36 więcej niż roku zeszłego. Wcisnąłem się już do sześciu pism, radio także stoi otworem. Praca wyczerpująca? O tak! Ale też trudno dziś utrzymać się inaczej z literatury. Musi się pisać dużo, a książka sama ci pomaga. Nie szukasz tematu, trochę streszczenia, cytat, parę uwag o stylu i 100 wierszy gotowe. Poza tym spokój. Jeśli jesteś obiektywny i życzliwy słowu pisanemu, nic nie ryzykujesz. A spróbuj pisać jakiś artykuł syntetyczny! Przede wszystkim trza robić studia, tematu nie wyczerpiesz, opuścisz, zaraz nagonki, pretensje. Ja mam satysfakcję: nikogo nie prowokuję, nie szkodzę, nie dyktuję, bezinteresownie służę autorowi, czytelnikowi i książce. Dostałem wawrzyn. Nie przykładam do tego wagi, ale zawsze, skoro robi się jak koń, miło, gdy kto oceni ten wysiłek". — Zbierasz prócz tego książki?" — „Jak widzisz! Już trzeci raz wypełniam moje szafy dookoła

ścian". — „Ileż rocznie dostajesz?" — „Przeciętnie 500". — „Czytasz to wszystko?" — „Dajże spokój! Ktoby dał temu radę. W każdym razie około połowę przeglądnę". — „A czytałeś już powieść P. S?" — „A kto wydał?" — "Ossolineum". — „O, to nie! To do mnie nie należy. Ja mam tylko Rój, Hoesicka i Św. Wojciecha". — „Ale to pierwszorzędna książka!". — „Trudno mój kochany! Dość już jest roboty choćby z takim Rojem. Nie mogę być nadczłowiekiem!".

II

W literaturze rozpanoszył się recenzent i jego światopogląd. Według niego wszystko w literaturze powstaje po to, żeby spowodować recenzje. Książka, która zdobyła pewne kwantum recenzji, jest książką pożyteczną, a zdobywszy je, spełniła swoje zadanie. Winna zejść z oczu, by zrobić miejsce innym.

Światopogląd ten, zrozumiały u wydawcy, narzucony został czytelnikowi. Ilością zauważonych recenzji mierzy on wagę książki i ustala hierarchię pisarzy. Według tych kryterii ustala sobie listę lektury. O tej książce mało się pisze — nie warto jej czytać! O tym głośno, dali mu nagrodę — to wielki pisarz!

Światopoglądem recenzenta zarażony jest historyk literatury. Opinie autora „Obraz współczesnej literatury polskiej" są nie tylko w swej formie recenzjami, są kształtowane na recenzjach także w ocenie i klasyfikacji. Ilość wierszy w „historii" jest wprost proporcjonalna do ilości recenzji, jakie książka spowodowała.

Terrorowi mentalności recenzenta ulega takze sam autor. Przekomarzania się w rodzaju: „on miał tylko 10 recenzji a ja 20!" — są pospolitym motywem rozmów między autorami. Autor zabiega o recenzje. Ale jak? „Posyłam ci moją książkę, bardzo proszę, napisz o niej w „Sygnałach". Ale pospiesz się, bo w międzyczasie gotów się z nią załatwić jaki kretyn. W „Wiadomościach" będzie pisał Antoni, w „Pionie" Karol. Już z nimi obgadałem. Poproś bardzo p. S. W., żeby posłał do „Kultury". Moze zna się z recenzentem z „Prosto z mostu", niechby go trochę życzliwie usposobił".

Autor nie jest ciekawy odruchowych, niewyreżyserowanych reakcji odbiorców, jemu chodzi tylko o *dobrą* recenzję. Nie ma pasji prowokowania wypowiedzi obcych, nieznajomych, udzielanych prywatnie, nie należy mu na wiedzy, czym się stała książka naprawdę, nie chce wyroków ale — komplementów. Stąd też to ogromne rozdrażnienie, gdy recenzja nie jest po jego myśli. Stąd osobisty żal i nieistotne, personalne napaści i polemiki, które nic nie mają wspólnego z książką i literaturą, a są tylko praniem brudów i kogucim, złośliwym zacietrzewieniem.

Recenzent narzuca prasie swoiste pojęcie aktualności. Gdy w r. 1939 chciałoby się ogłosić artykuł o „Granicy" Nałkowskiej, nie można doprosić się miejsca w żadnym piśmie. To nie aktualne. Niech pan napisze raczej o „Niecierpliwych". Napisać o Orkanie? Chyba nie, wolelibyśmy o Dygasińskim. Teraz jego wszyscy czytają. Wszyscy? To zna-

PRACE BRACTWA ŚW. ŁUKASZA
W PAWILONIE POLSKIM NA WYSTAWIE NOWOJORSKIEJ



Bractwo Św. Łukasza — Nadanie przywileju Neminem captivabimus



Bractwo Św. Łukasza — Konfederacja warszawska



Bractwo Św. Łukasza — Konstytucja Trzeciego Maja

czy kto? Gromadka recenzentów, którym wczoraj poczta dostarczyła za darmo parę nowiutkich tomów.

A przecie pewne książki czyta się stale. Zjawiają się ciągle *nowi* czytelnicy dla których książka jest świeżym odkryciem i nowoczesnym przeżyciem. Bo do diabła z książką, o której nie opłaci się pisać już po roku. W takim razie nie warto przecie pisać o niej w dniu jej narodzin.

Zdemoralizowani, zesnobizowani czytelnicy nie chcą wypożyczać z bibliotek książek, które wyszły zeszłego sezonu. Natomiast wystarczy zaobserwować co się dzieje z książką, która właśnie wyszła. Do wypożyczającej panny przymilają się całe ogony klientów. „Panno Stasiu! Ja zamawiam! Ja potem! Czy już jest? Ja to muszę mieć do niedzieli! Niech pani zamówi jeszcze jeden egzemplarz!" itd. Po miesiącu leżą cztery egzemplarze książki zmasakrowane i nieżywe. „Phi! cóż mi pani daje? Przecie tego dziś już nikt nie czyta".

III

Recenzent, który musi pisać o książce, póki ona pachnie farbą drukarni, nie ma absolutnie możności stanąć w pewnym dystansie do zjawiska, którym jest ona. Nie ma możności uwzględnić w krytyce reakcji środowisk czytelników ani wypowiedzi swych kolegów po piórze. Stąd recenzje nie są ogniwami w dyskusji nad problematyką książki, ale wykrzykiwaniem na wyścigi zdania krytyka. Ja pierwszy zauważyłem, ja pierwszy pochwaliłem, to moja zasługa, że... Toteż jakże rzadkie są nawiązywania do rzeczy już powiedzianych, by wywody poprzednika kontynuować lub poprawiać, a ileż jest niepotrzebnej tautologii! Można dostać obrzydzenia do książki, gdy w różnych pismach czyta się w ciągu miesiąca tuzin recenzji i każda jest rodzoną siostrą poprzedniej. Jeśli pisarz jest dość sławny i nie zaangażowany wyraźnie politycznie — tak samo zostanie oceniony w pismach lewicowych jak endeckich, w dzienniku brukowym i miesięczniku artystycznym, w organie polonistów czy pisemku młodzieżowym. A jeśli pisarz ma wyraźną przynależność grupową, wtedy nie czytamy recenzji, ale apoteozę lub paszkwil pod adresem jego prywatnej osoby.

IV

Założenie światopoglądu recenzenta jest takie: każde zjawisko, każda książka osobno! Przecie „każda stanowi indywidualny, odrębny, mały, a czasem i większy, kosmosik, rządzony swymi prawami, różny od wszystkich innych" (Gombrowicz). Dla każdej od początku nowe prawa i przywileje! Zgoda i na to, ale w jakim celu zgoda? Czy tylko po to, aby poprzestać na zrozumieniu i opisie tego autarkicznego kosmosika?

Bez wątpienia każde dzieło sztuki jest dla siebie pewnym zamkniętym światem artystycznym, nie mniej z chwilą, kiedy się pojawi, staje się cząstką obiektywnej rzeczywistości socjalnej i z tego powodu każdy ma prawo ustosunkować się do niej tak, jak mu jego społeczny interes dyktuje. W tym momencie samodzielny świat książki musimy sprowadzić do naszego świata jako przyporządkowany szczegół. Musimy go skrócić, zredukować do funkcji elementu. Autor nie może sobie wymówić u czytelników prawnie mieszania się do „nie swoich rzeczy". Dzieło jest własnością miliona różnych indywiduów, autor nie jest pożądany nawet po to, aby bronił swej książki, bo od tego jest tylko ona sama.

Każda książka narusza pewien status quo ante. Jedni mogą się z tego cieszyć, innym może to niedogadzać. Nie chodzi tu bowiem o pewien ilościowy przybytek, ale o dekompozycję całej rzeczywistości kulturalnej. Jedna książka może wywrócić do góry nogami całą istniejącą hierarchię wartości duchowych. Dlatego książka nie jest to sprawa protokulanta i recenzji. Nie jest to sprawa wierności w opisie czy kwalifikacji poziomu. Jest to problem zjawienia się sprzymierzeńca czy wroga, apostoła czy deprawatora, darmozjada czy odkrywcy.

Sens narastającej kultury nie polega na tym, by eliminować różnice, prawo do odwagi, okazje do walki i zwycięstw. Kultura przenosi te działania na inne platformy, bardziej godne cywilizowanego człowieka. Chce zamiast pałki i zasadzki dać idee i zasady. W sztuce istnieje walka o byt nie mniej okrutna jak wśród zwierząt w dżungli. Pisarz czy artysta może przegrać swój sens i życie tak samo jak dawny błędny rycerz czy dzisiejszy strajkujący robotnik.

Są tacy, którzy walkę w literaturze pojmują jako likwidację fizyczną i moralną samego autora, obóz koncentracyjny, cenzurę, spalenie dzieł na stosie. Sama jednak sztuka proponuje, w interesie własnym i w interesie człowieka, zaciętość i bohaterstwo na innym poziomie. Jest za walką na idee, myśli, wizje i odkrycia artystyczne. Dla tego nie mogą trafić do przekonania apele: krytycy! liczcie się „z ludźmi ciężkiej pracy, niewielkich dochodów i odmiennej struktury duchowej" (Gombrowicz). Dobre serce liczące się z tymi akurat motywami nie byłoby wyrazem rzetelnego zrozumienia prawdziwej moralności literackiej, może natomiast zaprowadzić na manowce. „Ciężka praca", sama w sobie, nie jest jeszcze wartością pozytywną, a jeśli chodzi o „szczupłe dochody" literatów, nie są one konsekwencją okrucieństwa krytyki. Przeciwnie, żadnemu autorowi nie zaszkodziły finansowo najostrzejsze polemiki. Skandale zaś na pewno mocno pomagają.

Cudzoziemiec nie umiejący po polsku, ale obracający się w środowisku literatów, zapytany o zdarzenia w literaturze polskiej w bieżącym roku, umiał wymienić tylko trzy fakty: nagradzania fenomenalnego Andrzejewskiego, pojedynek Iłłakowicz: Wielopolska, przejście na faszyzm Goetla. W tych trzech zdarzeniach kulturalnych uczestniczył również każdy inteligent polski.

Inne rzeczy nie trafiły pod strzechy. Poza tym w prasie były tylko recenzje.

V

Recenzent nie znosi syntez i postulowań: Sądzi, że to zubaża rzeczywistość. On pławi się w bogactwie, w obfitości, w masie faktów. On tylko gromadzi, podpatruje coraz nowe szczegóły, donosi o nich wymownie i triumfująco. Traktuje literaturę wyłącznie jako pasjonującą przygodę i zabawę. Czy wykonuje w ten sposób swe obowiązki wobec czytelników?

Literatura jako część rzeczywistości społecznej zmusza nas do zajęcia wobec niej określonej postawy, do zdecydowanej reakcji, do sądu. Już sama konieczność orientacji w tłumie zjawisk stawia nas przed obowiązkiem poczynienia pewnej klasyfikacji i selekcji. Musimy mieć jakieś wytyczne, jakieś drogowskazy, któreby zgrubsza kierowały naszymi krokami. Musimy mieć mapę, któraby nam w jednym rzucie oka pozwoliła objąć obraz całości. Kto korzysta z mapy, wie do jakiego stopnia jest ona „krzywdą rzeczywistości". Jak bardzo banalizuje ona świat! Z mapy wyparowało powietrze i słońce. Opuszczone zostało całe pulsujące bogactwem i różnorodnością życie. Zostały tylko nazwy i odcinki odległości. Tylko tyle! Bo też taki jest sens wszelkiego uogólnienia.

Gombrowicz naigrywa się z tych „którzy zmuszeni są wycofywać się na grunt ogólników i banałów". Zachodzą tam tylko „chude myśli" i „chuda kategoryczność". Nie ma wątpliwości, że tak jest. Wie o tym każdy student jak bardzo musi maleć treść w miarę, jak zbliżamy się do granicznych kategorii. Ale taką właśnie ryzykowną zabawą zajmuje się od wieków filozofia. I każda twórcza nauka.

Zaglądnijmy do podręczników socjologii, a pouczą nas, jaka jest społeczna struktura każdego naszego obrazu świata, jakie rządzą nią konieczności i jakie powodują nią cele.

Literatura nie powstaje tylko dla historii. Jest ona żywą rzeczywistością aktualną, wojującą i w tej funkcji winna być wykorzystana do maksimum. Toteż muszę jako czytelnik zorganizować sobie pewien układ pojęć, taki układ, któryby mi umożliwił aktywny stosunek do tej dziedziny. Aktywny, t. zn.: pozwalający mi orientować się w całości, umożliwiający mi grupowanie narastających faktów w pewne otwarte kategorie, dający mi kryteria wartościowania i oceniania według moich żywotnych interesów, a wreszcie otwierający mi możliwości wpływania na dalsze kształtowanie się faktów. Oczywiście układ taki nie ma charakteru absolutnego, związany jest z moim doświadczeniem i moimi ideami.

Powie recenzent: ależ w takim razie musimy zejść na bardzo grube popularyzacje, uproszczenia i tendencje. A choćby! Bo do diaska! po co ma być ogromne bogactwo świata, jeśli mnie nigdy do niego nie dopuszczą, abym je ogarnął przynajmniej spojrzeniem? I po wtóre: cóż warty cały tłum przeżyć i doznań, jeśli te nie schodzą się nigdy nad wspólnym mianownikiem, choćby zaokrąglonym do bardzo przybliżonych liczb?

Socjologia usprawiedliwia istnienie uogólnień, konwencji, fikcji, formułek, schematów, szablonów i różnych stereo-

typów. Są one nieodzowne dla teorii i praktyki życia tak indywidualnego jak i zbiorowego. Chodzi o to tylko, by te stereotypy miały pokrycie w żywych faktach i treściach emocjonalnych, jakie się z nimi kojarzą. Trzeba w tym celu czujności, wrażliwości i ustawicznego kontaktu już nie ze samą książką ale także z zapotrzebowaniem środowisk.

To wszystko powoduje, że wyjść trzeba daleko poza słażebności recenzenckie. Trzeba wołać o systematyków, teoretyków, twórczych krytyków i ideologów. Innej także trzeba roboty. Bardziej fachowej.

Czy to jest w porządku, jeśli na tematy teoretyczne literackie u nas nie pojawia się nawet jedna książka na rok? A



(Sztuka węgierska)
Paweł C. Patzay — Smutek

prób bilansowania, syntezy, planowania ileż jest na dziesięć lat? Jeśli się pojawi jaka książczyna, jest wypłoszona. Nie poprawia się jej, nie podejmuje się dyskusji z jej propozycjami, odrzuca się ją a limine lub — recenzuje. Nic nie robi się, by ułatwić sukces następnej, bardziej doświadczonej próbie.

Zdać sprawę z charakteru literatury polskiej ostatniego dwudziestolecia: jakiż niewdzięczny trud! Trzeba robić wszystko od początku. Zacząć od kupowania nie zarejestrowanych w żadnej bibliografii i nieobecnych w żadnej bibliotece druków. Nie ma żadnej pracy przygotowawczej, nie ma monografii ani poszczególnych pisarzy, ani kierunków czy szkół. Nie są opracowane żadne tematy, problemy, motywy. Nie ma żadnej wypróbowanej metodyki analiz socjologicznych, estetycznych czy psychologicznych. Żadnych prac porównawczych czy rodowodowych. Żadnych statystyk ani umownej terminologii. Nie przedyskutowano dla uzyskania jakiegoś wyniku żadnego problemu. Gadało się kiedyś o literaturze proletariackiej, jak teraz dla odmiany o katolickiej, ale nie dogadało się spraw do końca. O awangardzie zaczynało się kontrowersje już parę razy i nie ustalilo się nawet, co rozumieć przez ten termin. Używa się terminów jak: autentyzm, realizm humanistyczny, klasycyzm ale sam twórca takiego terminu nie pozwala się sprowokować do wyjaśnienia co ma na myśli, twierdząc, że to jeszcze przedwcześnie a samo zjawisko zbyt żywiołowe. Są indywidualne projekty terminologii nowej poetyki, ale nikt tego nie próbuje kodyfikować, by nie zasłużyć na miano talmudysty. Nie pojawiają się fachowcy literaccy, nie tworzą się żadne specjalizacje i autorytety. A bez tych nie może przecie tworzyć się jakikolwiek poziom i postęp w kulturze literackiej.

W wysiłku budowy tej kultury bodaj czy nie trzeba zacząć właśnie od przezwyciężenia dominującego dziś w sprawach literackich światopoglądu recenzenckiego.



(Sztuka węgierska)
Paweł Molnar — Ucieczka



(Sztuka węgierska)
Jan Vaszary — W parku

Błękitne Zwierciadło Cywilizacji

Jeśli cały świat cywilizowany uważa Wystawę Nowojorską za zdarzenie o pierwszorzędnym znaczeniu, to powodem tego nie jest jedynie olbrzymie skupienie wytworów pracy i myśli 60 narodów. Wszechświatowych wystaw było wiele, kierownictwo każdej z nich dążyło do maksymalnych osiągnięć, przeważnie w kierunku technicznym i historycznym. To, co odróżnia Wystawę Nowojorską od jej starszych siostrzyc — to wyraźna, określona idea. Ta idea najbardziej nas interesuje, bardziej, aniżeli kolosy, zawierające dorobek motoryzacji, lotnictwa lub też „wesołe miasteczko", które zajmuje przestrzeń równą całej przestrzeni ostatniej wszechświatowej wystawy w Paryżu.

Idea obecnej Wystawy Nowojorskiej da się streścić w następujących słowach: „Jutro będzie lepsze, obfitsze, aniżeli dzień dzisiejszy". Ta idea połączona jest z syntezą współczesnej demokracji. W centrum wystawy znajdują się dwa potężne symbole: Perisfera i Trylon. Pierwszy z nich to wielka, panoramiczna kula, drugi — to strzelisty obelisk wysokości 700 stóp angl.; pierwszy — to symbol ziemi, drugi — tendencji podnoszenia się wzwyż. Od tego centrum prowadzi 14 alei, reprezentujących najważniejsze działy życia, są to: Rząd, Produkcja, Transport, Komunikacja, Systemy handlowe, Ochrona, Ubiory, Wyżywienie, Zdrowie, Dobrobyt publiczny, Wychowanie, Rozrywki, Sztuka i Religia. Następnym co do znaczenia jest Aleja Konstytucji — serce całej Wystawy. W alei tej znajdują się symbole demokracji, a więc: Friedlandera „Cztery Swobody", przedstawiające swobodę prasy, wyznań, zebrań, słowa; znajduje się tam również wielki pomnik Jerzego Waszyngtona, pierwszego prezydenta Stanów, a wokół tego centrum wielkie połacie zadrzewione i zabudowane, reprezentujące 60 państw.

Historia kroczy prędzej, aniżeli budowanie wystawy. Toteż widzimy pawilony dwóch nieistniejących już państw: Albanii i Czechosłowacji.

Z państw obcych najszerzej ujęta jest Wielka Brytania.

Alistair Cooke w swym przemówieniu radiowym, nadawanym z Nowego Jorku, opisuje wrażenia z angielskiego pawilonu, które ze względu na trafność charakterystyki podaję w obszernym skrócie:

Pierwsze, na co zwracam uwagę — to rzecz może nie genialna, ale rzecz pełna sentymentu i pieczołowitości. Po środku cudów dnia dzisiejszego i jutra widać aleję angielskiego parku z tysiącami tulipanów, sprowadzonych z Anglii. I będzie tu orzeźwiający kącik podczas amerykańskich upałów w lipcu i sierpniu. Z koncepcji pawilonu Wielkiej Brytanii widać, że twórcom jej zależało na przedstawieniu rozwoju rzemiosła i pracy, z których Zjednoczone Królestwo jest tak dumne.

Ciekawe efekty osiągnięto przez kontrasty. Obok modeli najbardziej nowoczesnych hut stalowych widzimy początki przemysłu żelaznego, obok najnowszej motorowej lokomotywy — najstarsze angielskie rowery. W Hali Morskiej widnieje piękny model „Queen Elisabeth", skromny, mały parowiec, który pierwszy przejechał przez Atlantyk, a wreszcie wielka mapa świata, wykonana w brązie i szkle, na której 9 tysięcy maleńkich statków kursuje po liniach angielskiej marynarki handlowej. Pawilon ten w sposób obrazowy przedstawia, jak powstała potęga morska współczesnej Anglii. Można obserwować, jak powstają delikatne płótna irlandzkie, jak hodują herbatę w całym państwie, jak wytwarza się znane samodziały szkockie. Można widzieć postęp rozwoju miast angielskich i rozwój opieki społecznej.

Wychodząc z tego głównego pawilonu, przechodzimy do skrzydeł, zajętych przez Australię i Nową Zelandię. Widzimy wielkie łąki, na których pasą się tysiące owiec; widzimy całą faunę australijską: dingo, niedźwiedzie, australijskiego mola oraz wielkie byki krajowe.

Nowa Zelandia i jej wielkie lasy. Tu znów model Południowych Wodospadów, reprodukcje lodowców i gejzerów. Kanada — jej przyroda, przemysł i obyczaje. Południowa Afryka z modelem wodospadów Wiktoria. Niesposób w jednym reportażu opisać to, co znajduje się na wielkiej łące długości 3 mil i szerokości 1 mili.

A trzeba jeszcze przypomnieć takie „drobiazgi" jak wystawa sztuki nowoczesnej, na której można spędzić 2 lata, studiując tysiące płócien o światowej sławie. Pawilon sztuki zawiera wię-



(Sztuka brytyjska)
Wiliam Orpen — Rodzina malarza



(Sztuka brytyjska)
Wilson Steer — Podbieracze gniazd

cej arcydzieł z ostatnich 600 lat, aniżeli jakiekolwiek państwo na świecie.

To co na pewno pozostanie w pamięci zwiedzającego, jest to dział wiedzy, w którym widzimy drogi poszukiwań całej ludzkości. Tutaj np. Norman Bell Geddes, znany rysownik amerykański, zbudował miasto 1960 roku — zorganizowane miasto z milionem drzew i dróg, 50 tysięcy samochodów jedzie wciąż po tym mieście, urządzenia lotnicze — słowem miasto ze wszystkimi szczegółami. Dużo cudów znaleźć można w tym dziale. Oto zwiedzający widzi, jak światło zamienia się w dźwięk, lub mówi do człowieka elektrycznego, który spaceruje, rozmawia i rozróżnia kolory. Na wspaniałej amerykańskiej wystawie medycznej widać prawie wszystkie organy ludzkie podczas ich działania. Można przypatrzeć się ogromnemu modelowi ludzkich narodzin — cały proces rozwoju człowieka od embriona. W ciągu 10 minut rozwój dochodzi do skończonej formy. Setki tysięcy dzieci amerykańskich zwiedza te modele. Jest to może najmądrzejszy eksponat wystawy.

Wystawa Nowojorska przekroczyła granice rozrywki. Jest ona wspaniałym zwierciadłem cywilizacji. Jest pięknym działającym modelem mózgu XX stulecia i bezinteresownego dobra; napawa nas wielką nadzieją, że jutro, oparte na takim dorobku myśli i ducha, będzie dobre, lepsze od dnia dzisiejszego.

Z Londynu do Nowego Jorku

W związku z wszechświatową wystawą w Nowym Jorku oraz wizytą angielskiej pary królewskiej ilość artykułów i wiadomości o Stanach Zjednoczonych w prasie angielskiej ogromnie się ostatnio powiększyła. M. in. odbyła się zbiorowa transmisja radiofoniczno-telewizyjna, przedstawiająca współczesną Amerykę w słowie, obrazie i filmie. W transmisji tej wziął udział szereg wybitnych publicystów angielskich. I tak np. Susan Ertz mówi:

Wyjeżdżając do Nowego Jorku należy zapomnieć Londyn. Oba miasta mają tak mało wspólnego, że napróżno staralibyśmy się je porównać. Oba te miasta — to kontrasty. Gdy ktoś myśli o Londynie, myśli o niekończących się rzędach domów, małych domów bez wyrazu, nie mówiących nic o życiu, które się w nich toczy. Domy te o wiele bardziej, aniżeli sklepy, teatry oraz budynki publiczne, odźwierciedlają prawdziwy Londyn. Owe miliony oddzielnych ognisk domowych odróżniają Londyn od wszelkich miast na świecie, a również nieporównane są przepełnione omnibusy londyńskie i perłowe światła wzdłuż Tamizy, barki, posuwające się w dół i w górę rzeki, grobowa cisza niedzieli, żółtawo-szara mgła, orszak Lorda Majora i gapiące się tłumy; wielkie skwery i place — wszystko — to jest typowe dla ukochanego Londynu.

Ale gdy przebyliśmy 3 tysiące mil Oceanu i zbliżamy się do Pomnika Wolności — wówczas, błagam was, wyjdźcie na pokład. Nie przeoczcie pierwszego wrażenia tego zdumiewającego miasta, widzianego od strony portu. Cokolwiek czytaliście o Nowym Jorku, nie zastąpi wam bezpośredniego wrażenia. Widzicie las skamieniałych grzybów i otóż, zbliżając się, widzicie, iż kamienie te są upstrzone tysiącami okien, które jakoby wyczekiwały waszego przyjazdu. Domy te robią wrażenie nieruchomych, argusowych monstrów. Jesteście przerażeni ogromem i zachwyceni liniami kolosów nowojorskich.

W tym zadziwiającym mieście ludzie mieszkają w tych wielkich blokach. Niektóre z nich — to wspaniałe gmachy, inne — biedne i brudne bloki. Liczne hotele podobne do kościołów katedralnych i wspaniałe, strzelające w niebiosa budynki. Trudno wprost uwierzyć, że to są hotele. W wielu z nich obiady jada się na szczycie, skąd ma się wspaniały widok na całe miasto, błyszczący Hudson, East Tryver i porty. Widzicie przyjeżdżające i odjeżdżające okręty i mosty, łączące z Manhatanem, skąd powstał Nowy Jork.

Jest to miasto kontrastów. Bogactwo i bieda, piękno i brzydota, postęp i konserwatyzm. Sztuka, muzyka i dramat kwitną. W tym bajkowym mieście nic się nie powtarza. Zapomnicie o wszystkich miastach, gdyż Nowy Jork jest jedyny i gdy będziecie go zwiedzali, przypomnijcie sobie, że jest on tylko wielką bramą nowego kontynentu, który czeka, aby go odkryto i który jest Nowym Światem, przyjmującym pielgrzymów.

Prezydent

W tejże transmisji zabrał głos Sir Frederick Whyte, kreśląc ciekawą sylwetkę prezydenta Stanów. Pan Roosevelt pokazał w ciągu swej 6-letniej kadencji, że umie i wyjaśniać i służyć potrzebom swego narodu podczas radykalnej ewolucji. Otworzył on nowe perspektywy dla Ameryki. Często popełniał błędy i prowokował opozycję. Rzeczywiście, gdy zamierzacie zainicjować wielkie zmiany i zastosować wiekopomne reformy, musicie wykrzesać iskry z kamienia opozycji i tak też uczynił Roosevelt. Lecz poza polityką, jakim rodzajem człowieka jest ten pierwszy obywatel Stanów Zjednoczonych? W pierwszym rzędzie sam siebie zmienił, wzniósł się z osobistej ułomności i stał się bohaterem wielkiego, osobistego i politycznego sukcesu. Osiemnaście lat temu zmógł go paraliż, a jednak w 57 roku życia jest potężniejszym człowiekiem pod każdym względem, aniżeli był wówczas. Niżej pasa jest on kaleką, powyżej zaś — nadczłowiekiem. Gene Tunney, znakomity pięściarz, powiedział mi kiedyś w Nowym Jorku, że pod względem rozwoju mięśni prezydent jest rywalem co najmniej równym wybitnym pięściarzom amerykańskim.

A teraz przypuśćmy, że wchodzicie do pokoju, w którym spotykacie siedzącego prezydenta z pledem na nogach — nie zdajecie sobie sprawy z jego kalectwa, gdyż ręka, która ściska waszą dłoń, jest ręką siłacza. Prezydent bierze was do niewoli swym zdobywczym czarującym uśmiechem, a po kilku minutach macie wrażenie, że jesteście jedynym człowiekiem na świecie, którego chce on widzieć, że od was może dowiedzieć się rzeczy, o których nikt inny nie wie na świecie.

Oto jest sposób, którym rządzi on Ameryką — drogą osobistego kontaktu. Prezydent ma nadzwyczajny dar przemawiania przez radio; każdemu słuchaczowi wydaje się, że mówi on tylko dla niego. Jednym słowem prezydent Roosevelt jest może najbardziej indywidualną jednostką ze wszystkich prezydentów, których znała Ameryka, i dlatego, że jest on przedstawicielem swojej epoki i wciąż myśli o potrzebach swego społeczeństwa, zajmie miejsce jako godny następca nawet najznakomitszych swoich poprzedników.

Z. L.



(Sztuka brytyjska)
A. E. John — Pułk. Laurence



(Sztuka brytyjska)
Hughes Stanten — Synowie Syjonu

13 numer „Wymiarów”

Zgodnie z naszym planem wydawniczym, przewidującym przerwę w czasie letnim, następujący 13 numer „Wymiarów” ukaże się w pierwszych dniach września.

M. in. będzie zawierał:

Franciszek Zięba — Problem polski na Śląsku w świetle beletrystyki niemieckiej.

Przekłady z poetów amerykańskich pióra Stanisława Helsztyńskiego (Carl Sandburg, Vachel Lindsay, Robert Frost, Edgar Lee Masters, E. A. Robinson, Amy Lowell, Edna St. Vincent Millay).

Waldemar George (Paryż) — Klasycyzm i wolność w sztuce.

Aleksander Nalepiński — Sługa myśli.

Michał Chmielowiec — W poszukiwaniu nowego stylu.

Grzegorz Timofiejew — W kręgu polonistyki.

Poezje J. Brzękowskiego, W. Czereśniewskiego, T. Hołuja, St. Piętaka i inn.

Ignacy Fik — Krzywda antologii.

Kazimierz Sowiński — Fragment prozy lirycznej p. t. „Oczami przez chmurę”.

Alfred Wizner — Koniec epopei.

Jan Dylik — ? ? ?

Archiwum rewolucjonistyczne „Wymiarów” p. n. „Z walk robotniczej Łodzi” (II).

POEZJA X PAWILONU — (DOKOŃCZENIE)*

Eugeniusz Ajnenkiel

Poznajmy teraz poezję satyryczną X-ego Pawilonu, służącą jako broń w walce z bezpośrednią władzą, komendantem więzienia. Nie ma tu patosu, jest raczej kabaretowy rytm wiersza. W następnych numerach, Wacław Święcicki, zamieścił je opiewając operetkową postać naczelnika, majora Aleksandrowicza, zwanego przez więźniów „Don Pedro". Pod tym też tytułem zamieszczony został wierszyk. Więzień opowiada:

„Wysoki, stóp aż cztery;
Nogi ma zgięte w łęk;
Udaje, że jest szczery,
A chytry lis — w tem sęk,

Chór zaś nuci:

„Wielki zbrodzień,
Kaszą codzień
Karmi nas ten Moskwy syn.
A kotlety
Te, niestety,
Tylko kiedy jest Dielin".**

Bardzo się rozżalił pan major na autorów, kiedy mu doniesiono o treści piosenki. Wzywał niektórych więźniów i tłumaczył się szeroko, że nie jest takim strasznym jak go malują i wcale się nie boi Dielina, a na dowód zaczął dawać owe „kotlety" aż dwa razy tygodniowo. „Lisia chytrość" majora polegała na tym, że zamykał oczy na pewne wykroczenia więźniów, aby przez to samo zmusić ich do nie odczuwania braku więziennego wiktu, z którego dochody przywłaszczał sobie. Zarabiając na ich wyżywieniu tolerował ich wybryki. Po wykryciu kolportarzu i składnicy w celi jednego z więźniów następny numer „Głosu więźnia" piórem W. Święcickiego tak wykpiwa pana majora:

„Codzień przy swej żonie
Narzeka na swój los,
Że w jego Pawilonie
Redagowali „Głos"
Lecz od czasów —
Gdy frykasów
Wonnych raz doczekał się
Teraz gdy ma szukać listów***
Socjalistów
Wówczas... w pień ich klnie!"

A ponieważ w rozmowach z więźniami starał się występować jako liberał — wyśmiano i tę fałszywą nutę „Don Pedra" — narzekającego na swą władzę:

„Ze on też radykalnie
Niekontent z rządu — nie!
Gdyby nie to —
Sub secreto,
Mówi wśród tajemnych min
Miałby dawno —
Za swą sławną
Służbę — „Krest" i wyżny czyn****

Autor tych wierszyków, Wacław Święcicki, osadzony został w Cytadeli w roku 1878, mając lat 30. Jako student Instytutu Technologicznego w Petersburgu, przyjeżdża do Królestwa i bierze udział w pionierskiej pracy socjalistów. Siedział dwa lata w Cytadeli, zesłany na Sybir, wraca w r. 1883, pracując jako buchalter w Banku Handlowym w Warszawie, nie zrywa z ruchem rewolucyjnym, współpracując w pismach nielegalnych. Zmarł w roku 1900. Była to natura niesłychanie żywotna, o dużej inteligencji i zdolnościach literackich. Więzienną maksymą jego był własny aforyzm: „Kto się martwi ten staje się martwym". Nie tracił więc pogody ducha.

Czci go klasa robotnicza śpiewając pieśń „Warszawianka". Napisał ją w Cytadeli, lecz wiersz po raz pierwszy wydrukowano poza jej murami, choć przedtem krążył w odpisach między robotnikami. Święcicki z czasem dostawszy pozwolenie na widzenie się z rodziną, na czytanie książek i t. p. ulgi — otrzymuje nielegalną korespondencję za pomocą kartek umieszczanych w produktach spożywczych, sam zaś odpowiada za pomocą kropkowania liter w dostarczanych mu powieściach i poezjach. W taki właśnie sposób, skomponowana przez niego pieśń „Warszawianka" wydostaje się na świat „wykropkowana" w „Panu Tadeuszu", co z benedyktyńską cierpliwością odcyfrowuje ukochana jego siostra Karolina. Dopiero w nr 1 pisma „Proletarjat" z dnia 15 września 1883 roku ukazuje się pierwodruk tekstu pieśni, odbitej też na specjalnych ulotkach.

Misyjno-ewangeliczny ton agitacji pionierów socjalizmu brzmi w niej wyraźnie:

„Dziś gdy roboczy lud ginie z głodu,
Hańbą w rozkoszy tonąc jak w błocie
I hańba temu kto z nas zamłodu
Lęka się stanąć choć na szafocie.

Nikt za idee nie ginie marnie
Zczasem zwycięży Chrystus — Judasza,
Niech święty płomień młodość ogarnie,
Choć wielu padnie, lecz przyszłość nasza!

Przed odjazdem na Syberię pisze Święcicki wiersz pożegnalny krążący w opisach między robotnikami i deklamowany na zebraniach:

„Żegnaj nam, żegnaj, droga kraino
Żegnaj nam ludu kochany,
Niech dzisiaj jeszcze krew i łzy płyną
Niech triumfują tyrany.

Niech nas broniących ludu biednego
Męczą wygnaniem, więzieniem
Niech się radują z zwycięstwa swego,
Poją się ludu cierpieniem.

Lecz tuż za nami idą już nowe
Za lud do walki szeregi.
Już lud podnosi schyloną głowę,
Morze zalewa już brzegi.

A gdy się wzniesie ocean ludu,
Wzburzą się fale w głębinie,
Wówczas zatonie świat pełen brudu
I nowe życie popłynie!

Krew i łzy skruszą wszelkie kajdany
Nędza i ucisk przeminą!
Tymczasem żegnaj ludu kochany
Żegnaj nam droga kraino!

W więzieniu też zarysował się wielki talent literacki Wacława Sieroszewskiego. W X Pawilonie pisywał on do „Głosu Więźnia". Tam też napisał swój słynny wiersz pod tytułem: „Czegóż chcą oni?" Żarem gorącym tchną słowa wiary, wyrywają się żądania misjonarzy socjalistycznych:

„Hura! Swobody, Fabryk i Ziemi!
I powiał w górę czerwony Znak,
Zwojami w słońcu mignął barwnemi
I na ludzkości dziejowy szlak
Wpłynął, przez nasze dźwignięty dłonie...

„Może zbyt wcześnie?" zadaje sobie pytanie, bo lud nie porwał się jeszcze do walki a pionierzy jej już za kratami... i odpowiada:

„O tak! my teraz biedni tułacze!
Ale zjawieniem swem jak jaskółki
Zwiastujem gromy! Słyszycie wrzawę?
To ciągną mnogie robocze pułki.
A górą znamie powiewa krwawe.
Znaku nasz, znaku! My pośród boju
Piersiami ciebie w koło otoczym,
Osmolim prochem, wykąpiem w znoju
I krwią serdeczną ubroczym
A kule gdy się przez pierś przebiją,
Rwąc twego płótna barwioną nić,
Jasno, wyraźnie na nim wyszyją
„Legli, bo ludźmi pragnęli być!"

Niestety, piękny ten wiersz, przeznaczony do „Głosu Więźnia" nie doszedł do rąk redaktora. Prześladował go pech, nawet wysiłki Sieroszewskiego aby rękopis, zawieszony na sznurku i wprowadzony w ruch wahadłowy, dostał się przez okno więzienne do celi redaktora nie pomogły. Wiersz wydostał się na wolność, poza mury Cytadeli i krążył w luźnych odpisach nie tylko wśród robotników należących do organizacji ale i poza nimi.

Wymarzone przez Sieroszewskiego „mnogie robocze pułki" organizowały się pod energiczną dłonią Ludwika Waryńskiego. Organizacja stworzona przez niego poczęła wydawać własne pismo „Proletarjat", organ Międzynarodowej Socjalno-Rewolucyjnej Partii. Jak w pierwszym numerze ukazała się „Warszawianka" tak w drugim z dnia 1 października 1883 roku, zamieszczony satyryczny utwór „Hymn konstytucjonalistów" także wg. F. Kona — autorstwa W. Święcickiego.

„Synu wielkiego ojca Mikołaja*
I niezawodnie równie wielkiej matki!
Władca od Nosa** aż do stóp Ałtaja!
Imperatorze od Łap*** do Łopatki****
Do Twego tronu zanosim błaganie:
Daj konstytucję, Najjaśniejszy Panie!
Ty, któryś Polskę niedawnemi laty
Wyćwiczył w wyższej sztuce politycznej,
Ze dziś z pokorą znosząc twoje baty,
Przykłada plaster z pracy organicznej!
Do Twego tronu zanosim błaganie:
Daj konstytucję, Najjaśniejszy Panie!

— — — — — — — — — — — —

Dziś kiedy w kraju buntownicze duchy
Świętej osobie Twojej życie truję
Racz wejrzeć na nas, którzy pełni skruchy
Służyć ci, bronić ciebie obiecują.
Do Twego tronu zanosim błaganie:
Daj konstytucję, Najjaśniejszy Panie!
Gdy łaska Twoja monarsza nam ziści
Pokorne prośby — najpierw w parlamencie.
Wnet uchwalimy aby socjaliści
Na szubienicę poszli lub na ścięcie!
Do Twego tronu zanosim błaganie:
Daj konstytucję, Najjaśniejszy Panie!

W wierszu tym dano wyraz tendencjom panującym w „spokojnym" o dobrobyt tylko dbającym społeczeństwie, które wyklinało socjalistów; świetnie je też wyszy-

* Por. „Wymiary" nr 11.

** Dielin — nazwisko prokuratora, który prowadził sprawę socjalistów po Plewem i pod którego nadzorem znajdował się X pawilon.

*** Oczywiście w głównej „poczcie", dostępnej dla wszystkich.

**** t. zn. odznaczenie i awans.

* Mowa o Aleksandrze II carze Rosji.

** Czuhocki Nos — przylądek na północy Syberii.

*** Miejscowość w Polsce.

**** Łopatka — przylądek na Kamczatce.

dził Adam Asnyk, dając mu postać filistra, który „nowinki" i „nowinkarzy" wyklina, bo:

„Wszędzie zepsucie go ściga
Próżno sam stoi na straży:
Zwycięża w świecie intryga —
Żydów i wolnych mularzy.
Zalewa ziemię wokoło
Rozpusty bezwstydny cynizm:
Jak hydra podnosi czoło —
Socjalizm i jakubinizm".

Przeciw socjalistom zgodnie więc występuje część polskiego społeczeństwa i rząd rosyjski. „Na szubienicę" krzyczą jedni i drudzy. Niebawem też ona zaskrzypi pod ciężarem ciał, po raz pierwszy od czasów powstania styczniowego. Rok po roku dokonywane są wśród socjalistów aresztу; nie pozwala władza by pustką stały cele Cytadeli. X-ty Pawilon zmieniał lokatorów, wysyłanych raz po raz do katorżniczych robót, do dalekich miejsc zesłania na Sybirze — pięciu zaś spośród nich stanęło pod drzewcem szubienicy.

Nim jednak wyroki przyszły, długą mękę przeszli więźniowie. Potem znów rygor więzienny lekko się rozluźnił. Lecz nie nadto. Dowodzi tego choćby i fakt, mówiący do nas z pożółkłych akt:

„Pewnego dnia czujnych uszu dozorcy więziennego dobiegły dziwne jakieś dźwięki. Rzekłbyś, że ktoś w celi X-ego Pawilonu gra na jakimś instrumencie. Po skocznej polce nastąpił rzewny kujawiak, aż tu naraz rozległy się majestatyczne a jednocześnie pełne brawury dźwięki: „Jeszcze Polska nie zginęła!", a następnie „Czerwonego Sztandaru". Dozorca odsunął prędko a cichutko szybkę „Judasza" i... o zgrozo! Co za widok przedstawił się jego oczom? Jeden z więźniów grał na grzebyku owiniętym w bibułkę. Zaskoczony tym dozorca nie zareagował w pierwszej chwili. Mocno jednak zaniepokojony pobiegł czym prędzej do naczelnika, by mu o wszystkim zakomunikować.

Naczelnik w swej praktyce więziennej nie miał jeszcze nigdy podobnego precedensu, toteż nie chcąc brać na siebie zbyt wielkiej odpowiedzialności (a przedtem więźniów dręczono) wysłał jeszcze tegoż dnia do oberprokuratora długie pismo, w którym jak przystało na dobrego służbistę, nie omieszkał przytoczyć wszystkich najdrobniejszych nawet szczegółów.

Oberprokurator przesłał pismo dalej, do wyższej instancji, a mianowicie do generał-gubernatora warszawskiego, załączając na marginesie swoją opinię, która brzmiała mniej więcej w ten sposób: „Wobec tego, że więźniowie są tu przed wyrokami, że zdenerwowanie ich jest duże, że innych wykroczeń przeciwko regulaminowi nie dopuścili się, uważałbym fakt gry na grzebieniu za „dowolno niewinnoje wremia prieprowożdienje" (niewinne spędzanie czasu).

Generał gubernator był jednak innego zdania, po dwóch tygodniach kancelaria jego wystosowała następującą odpowiedź: „Wobec tego, że przechowywanie przez więźniów instrumentów muzycznych jest surowo wzbronione, nakazuję grzebień zarekwirować, winowajcę zaś, t. zn. tego, który grał osadzić na trzy dni w karcerze".

To „zasłużona" kara spotkała tylko „instrument" muzyczny. Grzebień został po dokładnej rewizji w celi znaleziony. Artysty zaś, który dopuścił się tak „karygodnego" czynu, nie zdołano ustalić, gdyż nawet przesłuchiwany dozorca więzienny w swoich zeznaniach nie wymienił nikogo.

Po tym fakcie życie płynęło znów jednostajnie, aż pod koniec 1885 roku regulamin więzienny rozluźnił się dość mocno. Rotmistrz żandarmerii Fursa, naczelnik X-ego Pawilonu zezwolił na gromadniejsze życie nawet tym więźniom, którzy dotychczas w pojedynkach siedzieli. Uczynił to dlatego — jak wspomina jeden z więźniów Hieronim Truszkowski, aby uniknąć rozgłosu, gdyby na jaw wyszły okropności, jakich dopuszczano się w stosunku do niektórych więźniów. Pragnąc uzyskać milczenie więźniów i zapomnienie krzywd dano im swobodę ruchów w ramach X Pawilonu.

Korzystając z tego uwięzieni siedzieli z kim kto chciał. Nawet kobiety wspólnie z mężczyznami. Dla małżeństw bowiem, ślubnych i nieślubnych, stawiano do celi, według żądania, podwójne łóżka.

Podczas wytężonej działalności agitacyjnej, tak intensywnie prowadzonej przed aresztowaniem, na erotyzm nie było ani usposobienia ani też czasu. Zarodki uczuć miłosnych przytłumione gorączkową pracą rewolucyjną, rozwinęły się dopiero w murach więziennych.

I tam też powstaje wiersz napisany, w przystępie dobrego humoru, przez Stanisława Kunickiego (powieszonego w styczniu 1886 roku) oraz Hieronima Truszkowskiego, którego treścią właśnie jest wykpiwanie głodu erotycznego:

...„Wnet Sejm zwołano.
O różnych rzeczach debatowano
Każden podawał tam swoją rade
Wniosek za wnioskiem sypnął jak gradem.
W końcu zaś prezes ujął to w całość
I sformułował ogólną żałość:
    Zważywszy
    Że dwaj prawnicy są obabieni*
    Że nasz „statysta" tuż — tuż się żeni**
    Że Luda z Janką już zaręczeni***
    A Jaś z Maniusią na fest złączeni****
    Czemu to każden z nas się rumieni
    Gdy jedenaste przechodzi „sieni"?*****
    Czemuż? — rzecz prosta, bo pozbawieni
    Uczucia, co się miłością mieni
    A któż z serc swoich żądze wypleni?...
    Ha! kto? Powiedzcie... chyba szaleni —
    My zaś rozsądni — więc „proszenie"
    Piszem „naczalstwu" o... [illegible]

Oczywiście prośby takiej nie napisali. W dalszym ciągu wiersza opisują troski bezżennych, wkładając im w usta żartobliwe słowa:

...„Jeszcze na świecie
Wiele jest niewiast dla których krata
Nie dziś to jutro będzie udziałem...
Wiele jest jeszcze, myśl, których wzlata
Nad poziom zwykły — nad światem całem...
Może nim ruszym w północ śnieżystą
Nim w zaspach śnieżnych gdzieś zaginiem,
Ty nam odnajdziesz duszę tak czystą,
Jak śnieżne groby w których spoczniem"...

A i ze współtowarzyszek niedoli słowa wiersza pokpiwają:

...„Lecz czas nie stoi
Kiedy „podlotna" przemija pora
Panienka starą zostać się boi,
Więc wbrew rozkazom swego mentora
(Zgroza) o chłopcach marzy i roi"...

Wiersz ten wskazuje, że mimo męki i grozy więźniowie posiadają zmysł humoru. Nie tracą też wiary, gdy rosyjski sąd wojenny twarde wyroki im odczyta. Bezpośrednio po wyroku i po przybyciu do cel więziennych, Ludwik Waryński tworzy słynny wiersz: „Mazur kajdaniarski". W wierszu tym poświęca strofki współtowarzyszkom więziennych dni, które swym zachowaniem się wykazały dużo hartu:

...„Dziewcząt naszych ocząt blasku
Nie mglą łzy zwątpienia,
Bohaterskich ich serduszek
Nie łamią cierpienia.
    I wesołych piosnek dźwięki
    Z ust ich płyną mile,
    Że nie zgadniesz, jak bolesne
    Przeżywały chwile"...

Oddając im należne słowa pochwały zwraca się do współtowarzyszy i tych w więzieniu i tych na wolności:

„Gdy którego stryczek zdusi
I to bagatela —
Bo człek każdy umrzeć musi,
Gwałt rodzi mściciela.
    A gdy tańca czas nadejdzie,
    Nasze kazamaty
    Wam wybiją takt mazura
    Łańcuchem o kraty.
I po kraju dźwięk przeleci
Jako marsz parady
W takt mazura pójdzie raźno
Lud na barykady".

Rok 1886 zamknął pierwszą kartę historii socjalizmu polskiego szubienicami i katorgą. Zduszono ludzi, a idea i pieśń została.

MAPA ROZMIESZCZENIA POLAKÓW

Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej ukazała się mapa rozmieszczenia Polaków w Polsce i sąsiednich krajach europejskich mgr St Wendekera.

Mapa ta, oparta na najnowszych danych urzędowych, wskazuje w jasny sposób, gdzie mieszkają Polacy w większości w stosunku do innych narodowości, a gdzie w mniejszości. Widzimy też na niej granice Polski w najdalszym ich historycznym zasięgu na zachodzie i wschodzie. Wykres kołowy, umieszczony obok mapy głównej, przedstawia ilości Polaków zamieszkałych w poszczególnych państwach europejskich poza Polską.

Warto przytoczyć niektóre cyfry. W Niemczech Polaków jest 1.500 000. W Rosji 900.000. We Francji 500 000. Na Litwie 200 000 i t. d. W każdym prawie kraju istnieje mniejszy lub większy odsetek Polaków.

Obraz, który daje ta mapa, jest niezwykle uderzający. Zasięgi dawnych granic uwypuklają dawną Polskę, sięgającą od morza do morza, dzięki twardej i nieustępliwej walce na zachodzie i federacjom z pobratymczymi narodami na wschodzie. Widać dalej na niej dowodnie, iż dzisiejsza Polska rozsiadła się w samym sercu historycznych ziem tam, gdzie wszędzie przeważa element polski. Jakiekolwiek naruszenie jej granic, to naruszenie jej etnograficznej całości.

Szczegółowe i staranne opracowanie, bogata treść, oraz niska cena są zachętą dla szerokiego ogółu do nabywania omawianej mapy.

Ze względu na swą wymowę powinna się ona znaleźć we wszystkich szkołach i instytucjach, w urzędach, bibliotekach i wśród organizacyj społecznych.

---

* Piotr Bardowski (powieszony w styczniu 1886 r.) z Natalią Pohl i Płoski Edmund z żoną.
** Ludwik Janowicz z Dziankowską.
*** Ludwik Waryński z Aleksandrą Jentys.
**** Mencel z Zielińską.
***** Jedenasty korytarz, na którym osiedlono „familijnych".

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

ś. p. Julia Józewska

Dnia 20. V. 39 r. zmarła w Łodzi zasłużona działaczka niepodległościowa i społeczna ś. p. Julia z Bolewskich Józewska, małżonka wojewody łódzkiego Henryka Józewskiego. Wyprowadzenie zwłok do katedry św. Stanisława Kostki odbyło się dnia 22. V. 39 r. przy udziale przedstawicieli władz państwowych, wojska, samorządu, organizacji społecznych, delegatek zarządu głównego Zw. Pracy Obywatelskiej Kobiet z sen. Jaroszewiczową na czele, licznego grona przyjaciół Zmarłej z b. premierem Januszem Jędrzejewiczem oraz delegacji łódzkich szkół żeńskich. O godz. 11-ej odprawiono nabożeństwo żałobne, po czym trumna ze zwłokami ś. p. Julii Józewskiej została przewieziona do Warszawy, gdzie 24. V. 39 odbył się pogrzeb.

Ś. p. Julia z Bolewskich Józewska urodziła się w czerwcu 1892 r. w Smile na Ukrainie. Do szkoły średniej uczęszczała w Kijowie. Po zdaniu matury wstąpiła na wyższe kursy żeńskie i rozpoczęła działalność w organizacji młodzieży „Polonia". Wtedy też rozpoczęła studia z zakresu historii sztuki, szczególnie malarstwa, które później kontynuowała w Lozannie i Monachium. Po powrocie do Kijowa w czasie wojny wstąpiła do POW (K. N. 3) i brała udział w pierwszym okresie pracy organizacyjnej. W 1919 r. wyszła za mąż za ówczesnego komendanta naczelnego POW K. N. 3, Henryka Józewskiego, z którym w 1916 r. wyjechała do kraju. W czasie wojny polsko-bolszewickiej przybyła znowu do Kijowa, skąd wraz z cofającą się armią powróciła do



Julia z Bolewskich Józewska

Warszawy. Po zawarciu pokoju państwo Józewscy wycofali się z życia politycznego i osiedlili się na działce wojskowej w powiecie krzemienieckim na Wołyniu, gdzie przebywali do r. 1926, w tym bowiem roku woj. Józewski powrócił do służby państwowej jako minister, potem wojewoda wołyński i łódzki.

W Łucku ś. p. Julia Józewska organizuje Z. P. O. K. i w ciągu 10 lat niestrudzonej pracy na stanowisku przewodniczącej doprowadza wołyńskie zrzeszenie Związku do wielkiego rozkwitu. Jednocześnie pełni obowiązki przewodniczącej Tow. Popierania Przemysłu Ludowego, wojewódzkiego Komitetu Pomocy Dzieciom i Młodzieży, jest wiceprzewodniczącą Polskiego Białego Krzyża i pracuje w wielu innych organizacjach kobiecych. Społeczeństwo wołyńskie darzyło ją głęboką czcią i żegnało z szczerym żalem. Po przyjeździe do Łodzi ś. p. Julia Józewska objęła przewodnictwo łódzkiego wojewódzkiego zrzeszenia Z. P. O. K. i zarządu wojewódzkiego tow. „Opieka" oraz stanowisko wiceprzewodniczącej wojewódzkiego komitetu Pomocy Dzieciom i Młodzieży. Mimo rozwijającej się od szeregu miesięcy choroby, trwała na posterunku pracy społecznej do ostatka swoich sił, wierna swoim najszlachetniej pojętym i ofiarnie spełnianym obowiązkom.

POLSKA I DEMOKRACJA

Grzegorz Timofiejew

„Przed Polską leży i stoi wielkie pytanie: czy ma być państwem równorzędnym z wielkimi potęgami świata, czy ma być państwem małym, potrzebującym opieki możnych". Od chwili, w której z ust Józefa Piłsudskiego padły te wyroczne słowa, minęło blisko 20 lat. Nie wszyscy zrozumieli od razu, że nie ma innego wyjścia, jak z kraju własnego wyprowadzić wielkość. Ale myśl Piłsudskiego powoli opanowywała umysły. Znaleźli się wprawdzie i tacy, którzy środków na zbawienie szukali za granicą, siali zamęt i nienawiść między ludźmi.

Jakże też często w publicystyce naszej przewinęła się błędna myśl, że w odróżnieniu od sąsiadów nie mamy widzenia jutra, krótko — nie mamy wielkich i jasnych dróg przyszłości.

Dzisiejsza chwila, gdy stanęliśmy twarz w twarz z błyskającą i huczącą groźbami wojny historią, uświadomiła każdemu już Polakowi, że wielkość Polski to jej rozkwitająca kultura i potęga militarna, i że utrzymanie wolności to nasz wspólny wielki cel. Najwcześniej zrozumiała tę sprawę armia, będąca nie tylko niezwyciężoną, jak o tym świadczą opinie zagranicy, siłą fizyczną, ale i emanacją najlepszych pierwiastków moralnych, a w pierwszym rzędzie narodu — dlatego dziś słusznie dokonywuje się wokół niej zjednoczenie ramion i serc.

Ta siła moralna, stanowcza wola obrony kraju, odpór dany wrogim zakusom bez krzty lękliwości a zarazem w formie spokojnej, jaką tylko słuszność sprawy dyktuje — zatrzymały rozpędzone koło barbarzyństwa, bez litości miażdżące dotąd prawa i narody. I oto fakt ten jest całym przełomem w dotychczasowej, niesławnej historii. Europa wolnej demokracji wraca do postawy bohaterskiej. To zasługa Polski, zasługa, która pasuje ją na nową a podobną w świetności do czasów dawnych roli. Polska staje się czynnikiem równowagi i twórczej siły w Europie, puklerzem wolności.

Lecz za czasów Jagiellonów w parze z potęgą militarną szła wielkość kulturalna, która polegała na tym, że Polska nie zamykała się we własnych plemiennych granicach, ale przez promieniowanie duchowe na wszystkich bez różnicy obywateli, przez tolerancyjne współżycie z ościennymi narodami, jak i przez pełny udział w życiu kulturalnym szerokiego świata, prowadziła kraj ku lepszej przyszłości.

I dziś te drogi stoją otworem. Tylko na nich wielkość. Przed nami wyłania się obecnie zagadnienie stanowiska kulturalnego Polski na wschodzie Europy. Są wszystkie dane na to, by Polska, której rozkwit tłumaczy się skrzyżowaniem słowiańskiego podłoża z cywilizacją chrześcijańską w postaci rzymskiej, czego nie zaznały żadne inne słowiańskie kraje w takim samym stopniu — by Polska była ponownie największą potęgą kulturalną, ogniskiem promieniowania cywilizacji zachodniej i ostoją wolności wśród krajów między Bałtykiem i Morzem Czarnym i aż na wschód Europy.

Nowe te zadania—wobec upadku Czech a marazmu Rosji tym łatwiejsze do zrealizowania — roztrząsa ciekawie i na czasie W. Lewiński w „Glossach" (I—II). Oczywiście, siła atrakcyjna Polski musi się zasadzać na wielkim a indywidualnym stylu jej kultury. „Na szczęście — pisze słusznie W. Lewiński — posiadamy wszelkie fundamenty pod budowę tej kultury. Dzięki tradycjom polskim XV—XVI—XVII wieków stworzyliśmy już wtedy moc przyciągającą inne narody do unii bądź do wejścia w orbitę stylu duchowego Polski. Nie tylko język i literatura polska, nie tylko polskie obyczaje, ale i stosunki prawne i ustrojowe wpływały na sąsiadujące z nami kraje. Oddziaływała na nie „złota wolność", wielkie stosunkowo swobody państwowe obywateli Rzplitej, otoczonej przez coraz bardziej absolutnie rządzone monarchie. Była to wprawdzie wolność szlachecka i oddziaływała głównie na wyższe warstwy sąsiadujących społeczeństw, ale oddziaływała mocno i trwale. Później romantyzm polski, apoteozujący wolność wewnętrzną jednostki i liczne rzesze emigrantów, żywionych duchem swobody ludów, niosących nie tylko na wschód, ale na całą Europę sztandary „za naszą wolność i waszą" — na tych samych podwalinach gruntowały wpływy polskie".

Tradycje te jakże są dzisiaj aktualne, godne utrwalania i dalszego rozprzestrzeniania. Kultura na tych pierwiastkach wolności oparta, będąca stylem wielkiej demokracji zjedna nam zagrożone przez hitleryzm kraje między Bałtykiem a Morzem Czarnym. Sojusz to będzie najtrwalszy, bo duchowy — i jak w wielkich czasach jagiellońskich militarnie potężny. A to już wyznaczy Polsce rolę, która postawi ją w rzędzie wielkich potęg świata.

Z POEZJI JULES SUPPERVIELLE'A

NIE ODWRÓĆ GŁOWY...

Nie odwróć teraz głowy, za tobą się toczy
Cud, co gotowy pojmać cię, gdy spojrzysz w trwodze:
Ta słodycz całą ziemię mogłaby przekroczyć,
Lecz chciej tu zostać, niby sen wstrzymany w drodze.

Stój i umiej z spokojem czekać, aż wyłamie
Serce się z twojej piersi niby ciężki kamień.

KONIE CZASU

Zawsze gdy u mych drzwi przystają konie Czasu
Troszeczkę waham się, nim spojrzę, jak się poją,
Bo one w mojej krwi pragnienie gaszą swoje.
Oto na moją twarz zwracają wdzięczne oczy,
Gdy długie rysy ich wlewają we mnie słabość.
I trwam znużony, sam — i złuda mnie otoczy,
Aż noc przemijająca powieki moje płącze.
I zaraz muszę znów wykrzesać w sobie siły,
Abym pewnego dnia, gdy się pojawią konie,
Mógł jeszcze żyć i mógł napoić je spragnione.

CHORY

Twe łóżko tak daleko, że zupełnie mroczne.
Niech cię tam wreszcie lekko rękami snu dotknę!

Wchodzi do ciebie febra, papiery rozkrada
I płonie od tajemnic szperając w szufladach;
Odczuwasz ciągle kroki, w ciele, co dnia nie ma,
Trwa pośpiech nieskończony jak w długich podziemiach.

A ręka twoja, wioślarz, pod wiatrem ciemności
Zwisa i szuka mórz.
Po podłodze szeleści, a fala się cofa,
Wtedy szuka tam piany wierząc, że ją pieści.

Dokoła twego łóżka na kracie przelotnej
Konają, nie poddając się, ptaki miłości.
Ktoś je bez słów unosi
Na chwiejnych schodów stopnie.

GRANADA

Zorza spojrzenie długie śle
Na wieże i wąwozów głębie.
Niebo wiedzione przez gołębie
Ku miastu schodzi jeszcze w śnie.

Z każdego dachu dym łopoce
I na swej drodze — tam gdzie mgła —
Chce dognać znów u kresu dnia
Minione, źle przeżyte noce.

Król Karol Piąty pośród chmur
Muska cyprysów rząd z wysoka. —
I sunie w dół po świstu stokach
Aniołów balsamicznych chór.

Lecą — marmurów, barw pośpiechem
W renesans i romański wiek.
Niżej dziewicy posąg legł,
Co szuka duszy swej z uśmiechem.

Lew warczy wrogo w swym kamieniu,
Nagle na straż ruszając drogą.
Z świetlików, z światła aureolę
Na swojem czole w kwiatach przeniósł.

Lwiem sercem, które marmur ściska,
Wstrząsa co krok łańcuchów szczęk.
I niczem dłań fontanny wdzięk —
Woda, co na pociechę tryska.

ŻYĆ...

Za to, że siłą stóp
Na sercu nocy trwałem,
Ja — człowiek — się wydałem
Na gwiezdnych sieci łup.

Nie dany mi spoczynek,
Co wszystkim ludziom znany;
Oto nawet mój sen
Nieba chłoną co dzień.

Nagości moich dni,
Na krzyż ktoś ciebie wiódł;
O ptaki leśne, w wietrze
Łagodnym, skute w lód
Ach! wy spadacie z drzew...

Tłum. Alfred Kowalkowski

KATASTROFA DYGASIŃSKIEGO

Franciszek Zięba

Nastał rok 1877, ciężki rok. W Krakowie na Rynku Głównym księgarenka Adolfa Dygasińskiego gościnnie zaprasza do siebie klientów, ale rzadko kto tam wchodzi.

Powietrze napęczniało setką atmosfer. Nad miastem unoszą się opary duszne skrajnej bigoterii i serwilizmu. Każdego postępowicza — jak ówczas nazywano postępowców — piętnuje się albo jako ateistę, albo jako podkopywacza cnót obywatelskich. Księgarenka chwieje się w posadach materialnych. Wydawnictwa Dygasińskiego (dzieła Tyndalla, Wundta, Peschla i in.) „przeraziło" — jak twierdzi ówczesny „Przegląd Tygodniowy" — wszystkie obozy krakowskie, a szczególnie ultramontański — udano się więc do p. D(ygasińskiego) z prośbą, aby zaprzestał swej postępowej działalności, a w takim razie jego interesa handlowe będą miały zapewnioną protekcję..." Dygasiński odmówił a skutki tego kroku nie dały na siebie zbyt długo czekać. Interesy księgarni stawały się coraz gorsze — fatalne. Z tych to prawdopodobnie czasów pochodzi pismo siostry Dygasińskiego Justyny do K. Bartoszewicza: „Czekamy Pana z niecierpliwością, boimy się, żeby nie było zapóźno. — Niech się Pan zlituje i pośpieszy. Dowidzenia". — Ostre natężenie! Krótkie spięcie i... nie wytrzymały nerwy Dygasińskiego.

Cichy Kraków przeżywa swego rodzaju sensację, wyjętą jakby z dziwnej opowieści: Dygasiński uciekł!!!

Godzina 7-ma rano w połowie roku 1877. A dalej opowie nam Kazimierz Bartoszewicz. — Do mieszkania mojego wpada Dygasiński. Z daleka już potrząsa biletem kolejowym — do niewiadomej miejscowości. Oświadcza, „że zbankrutował, ucieka — mnie tylko o tym mówi, abym się zabezpieczył i błaga, abym mógł coś uratować dla L. Biechońskiego, który był jego cichym wspólnikiem". Na argumenty takie i owakie i wreszcie, że naraża opinię swoją — wyjeżdżając nagle — odpowiada: „Zapóźno już; wyszedłem z domu i już nie wrócę! Sumienie mam spokojne, bo księgarnia pokryje zobowiązania. Sprzedajcie wszystko, a odbierzecie swój kapitał z nadwyżką. Ja nic nie chcę!" — Wypada z pokoju i woła jeszcze: Nie szukajcie mnie!

Scena zakończona, ale jeszcze nie sam dramat. Przecież musiano szukać Dygasińskiego. I w tym momencie wysuwają się naprzód — stojące dotąd na uboczu — osoby dramatu: Kazimierz Bartoszewicz i Ludomir Biechoński. „Stało się to w chwili — opowiada K. Bartoszewicz— gdym rozpoczął druk dzieł ojca, a 3500 złr. jakie jeszcze miałem u Dygasińskiego (z kwoty 6000 złr) miały stanowić podstawę wydawnictwa. Położenie moje było fatalne. Pobiegłem do adwokata R(omana) Jakubowskiego. Ten poczynił kroki prawne. Mówiłem mu, że chcę ratować Biechońskiego. Śmiał się: Naprzód pan siebie ratuj. Pytał, czy wiem, ile będę mógł wyciągnąć. Sądziłem, że księgarnia warta z 10.000 złr, ale ile długów nie wiedziałem. Więc Jakubowski mówi, to podamy 4600, aby w danym razie Biechowskiemu coś zostało".

Lepiej by było jednak zająć książki w księgarni na sumę 6000 złr, bo to umocniłoby pozycję Biechońskiego, który jako cichy wspólnik wpakował w księgarnię Dygasińskiego do 12.000 złr. Okazał się więc niezbędny dokument, w którym by Dygasiński oświadczył, że Kazimierz Bartoszewicz wymówił już przed pół rokiem sumę 6000 złotych reńskich. Samemu Bartoszewiczowi należało się już tylko 3500 złr. Jakoś udało się skomunikować z Dygasińskim (wiem, że Bartoszewicz pisał jakiś list do Dygasińskiego około końca lipca 1877 r., ale który to list był — nie wiadomo). Czas jednak naglił, nie można było zwlekać, bo zgłaszali się już inni wierzyciele i lada chwila ktoś mógł ubiec K. Bartoszewicza. Sąd w Krakowie pozwolił w dniu 24 lipca 1877 r. K. Bartoszewiczowi dokonać „egzekucyjnego zajęcia wszelkich prawem spod zajęcia nie wyjętych, a do dłużnika p. Adolfa Dygasińskiego — oto słowa aktu urzędowego — należących ruchomości..." Tymczasem nieszczęsny zbieg — który przedarł się jakoś do Warszawy — przygotował żądane upoważnienie z datą ostateczną 26 lipca 1877 r. i przesłał je do Krakowa. Równocześnie m. in. pisał: „Róbcie co można. Ja się ratuję, jeśli dostanę posadę przy liwerancie jeneralnym głównego sztabu w Bukareszcie, to zrobię interes i w krótkim czasie zapłacę te świństwa, które mię do szaleństwa przyprowadzają. Szanse są grube..." ...„Zapewniam, że z chwilą objęcia jakichbądź obowiązków zacznę płacić, com komu winien. Krok rozpaczliwy zrobiłem, ale ponad to wyjścia dla mnie w Krakowie i za 100 lat nie było".

Dygasiński roił fantastyczny plan wyjazdu na teren wojny rosyjsko-tureckiej, a tymczasem wierzyciele jego wytaczają ciężkie oskarżenie: Dygasiński nas zniszczył!

O ciężkiej sytuacji materialnej Kaz. Bartoszewicza świadczy fakt, że chcąc się ratować musiał w październiku 1877 r. sprzedać kilka starych (z XVI i XVII wieku) dzieł będących jego własnością i w okresie od 5 sierpnia 1877 r. do 20 stycznia 1878 r. zapożyczył się u samego Ludomira Biechońskiego na 315 złr. Ludomir Biechoński zaś — po kilku miesiącach od bankructwa Dygasińskiego, choć już nieco odzyskał pieniędzy przez sprzedaż dzieł księgarni, skarży się w liście z dnia 4 lutego 1878 r. do Kaz. Bartoszewicza, bawiącego chwilowo w Warszawie.

„Z Panem Dygasińskim jeżeli się Pan zobaczy, niechaj mu Pan powie, że dotąd nic nie odebrałem od niego, a obiecał od 1 lutego przynajmniej paru Żydów spłacić ratami miesięcznymi, bo o jego chęciach i głoszeniach po całym świecie, że wszystkie straty zwróci, chociażbym chciał w to uwierzyć bardzo, to jednak trudno mi to brać na serio". ...„Straciwszy do 12.000 złr jestem tak zadłużony, nawet u Żydów na straszne procenty, że jeżeli się to prędko nie skończy, to smutny koniec mnie czeka".

Prawda to z „głoszeniami" Dygasińskiego: Dygasiński w poczuciu wielkiej krzywdy, wyrządzonej Biechońskiemu pisze wcześniej, bo 1 sierpnia 1877 r. z Warszawy (gdzie przebywał u swego przyjaciela Stanisława Mieczyńskiego) do Kazimierza Bartoszewicza i sam siebie surowo osądza:

„Udaję się do Was, jako do człowieka, którego szlachetności zawsze i nieograniczenie ufałem i ufam. Ja jestem *zdeptany jak robak i sponiewierany jak szmata,* zresztą zrozpaczony nie własnym nieszczęściem, bo jestem jeszcze młody



*Stanisław Charzyński — **Kompozycja***



Józef Czapski — Bufet stacyjny

I mogę pracować jak bądź, ale Panie Kazimierzu boli mię krzywda, którą lekkomyślnie wyrządziłem uczciwemu bardzo człowiekowi, jakim jest Ludomir Biechoński. Aby tę krzywdę powetować, gotów jestem sprzedać się jak bydlę każdemu, co mię zechce eksploatować jak bądź. Na świecie jeszcze będę pracował ciężko i zarabiać potrafię. Mogę przyjąć ciężkie zobowiązania względem was, jeżeli wy mię w tym wielkim, w tym największym nieszczęściu pokrzywdzenia dobrego człowieka ratować zechcecie. A nie chodzi tu o Wasz uszczerbek. Owszem w stosunku z Ludomirem zawsze tylko zyskacie. Otwórzcie z nim księgarnię, która nie robiąc uciążliwych nakładów, utraciwszy takiego jak ja *durnia*, może prosperować szczęśliwie. Fałszywe wrzaski wystąpiły przeciw Wam, jakobyście uościli pretensję Waszą do fl(orenów) 450). Przysięgam, iż z góry zaprzeczyłem temu. Ja nie mam głosu ani prawa decydowania o czym bądź; do Was odnoszę się jedynie jako do jednostki lepszej niż zwykły ogół pełzaczy; możecie na *mnie cisnąć kamieniem, bom na to zasłużył;* wolę dziś nawet słowa prawdy niż współczucie jakiekolwiek. Jestem wart nie tylko wymówek, ale o*belg i tych mi też* nie szczędzą dzięki Bogu, co istotnie ulgę przynosi w strapieniu ciężkim. Otóż *jako taki — bez głosu, bez czci, wiary opryszek staje jednak przed Wami i proszę* i zaklinam Was róbcie dla Ludomira, co możecie. Może ja Wam kiedybądź w życiu odpłacę tę wielką łaskę — to największe dobrodziejstwo. Gdybym Was prosił o kilka reńskich, umierając z głodu, to przez litość, nie odmówilibyście, ale to niczym byłoby dla mnie w porównaniu z tym, o co proszę. Rozmówcie się z tym człowiekiem, który jest słaby i ulegający, on Wam zrobi ustępstwa, a Wy jemu także niektóre, porozumcie się. Odwrotnie oczekuję odpowiedzi prędkiej, gdyż wyjeżdżam z Warszawy.

Z wysokim szacunkiem i uznaniem

Adolf

1/8 77 r. Adres: Mieczyński

Widok N 14

Ulegając prośbom Dygasińskiego i pod naciskiem własnego sumienia Bartoszewicz dopuścił Biechońskiego do spółki w zajętej — wyrokiem sądu — księgarni, ale Dygasińskiego nigdy nie rozgrzeszył i do końca życia uważał za sprawcę swego wykolejenia. W kalendarzyku z roku 1920 zapisuje pod adresem Dygasińskiego ciężkie bardzo oskarżenia: „Bankructwo Dygasińskiego zwichnęło moją karierę życiową. Chcąc się ratować, wziąłem się po nim do księgarstwa. Wpakowałem się w straszne długi, a choć w ciągu lat spłaciłem je co do grosza, ale żyłem jak nędzarz, strasznie borykałem się z losem".

Piękne słowa i szlachetne gesty Dygasińskiego okazały się nieproporcjonalnie słabe wobec faktów, spowodowanych słabością wewnętrzną. Wprawdzie Bartoszewicz nie zasługuje w pełni na zaufanie, gdyż w rękopisach pozostawionych po śmierci, komu może i nieraz w sposób gruby przylepia łaty, a nawet w druku zmyśla fakty (o czym pisał A. Rosenberg w artykule o Blizińskim i Bartoszewiczu), jednak cytowany list Dygasińskiego z 1 sierpnia 1877 r. i inne poszlaki zdają się potwierdzać, choćby najważniejsze zarzuty Bartoszewicza.

Katastrofa pociągnęła za sobą i dodatnie skutki, jej bowiem zawdzięcza literatura polska ujawnienie się nowego i uznanego powieściopisarza. Pisać pisał Dygasiński już przed tym, ale na tematy naukowe (np. niedługo po ucieczce do Warszawy umieścił w „Niwie" artykuł pedagogiczny).

I oto zdarza się dziwny, rzadki wypadek w literaturze: zadebiutował w powieściopisarstwie 40-stokilkoletni człowiek, na łamach „Przeglądu Tygodniowego" z r. 1883 (nie w r. 1880, ani też w r. 1882, jak podają w swoich literaturach Chmielowski, Feldman, Korbut) pierwszą swą nowelą. Fakt ten zrobił wrażenie w kołach literackich Warszawy. Wspomina o nim jeden z redaktorów „Przeglądu Tygodniowego" w następujących słowach: „...jakie było nasze, wyznajmy, zdziwienie, gdy pewnego razu Dygasiński zapowiedział nam, iż przynosi nowelę. Była to pierwsza w tym kierunku praca „Za krowę", a później poszły dalsze „Wilk, psy i ludzie", „Co się dzieje w gniazdach?".

Być może wstrząs psychiczny wywołany katastrofą krakowską, wyzwolił w Dygasińskim — nie od razu co prawda — ukryty talent powieściopisarski.

HEL

Adam Szczerbowski

Kwitnie niebem, srebrzy się zielenią
fal, co płyną rozświetlone stąd,
gdzie się spiętrza sinem odkreśleniem
niedosięgły horyzontu błąd.

A nad brzegiem słoneczna powieka
rozpostarła niewidzialną sieć.
Przymknij oczy. Przez skórę przecieka
strumień światła, by w żyłach ci wrzeć.

Dyszy morze, potwór srebrnołuski,
sędzieliną kędzierzawych fal,
a na brzegu dwie dziewczęce brzózki
warkoczami przywabiły dal.

Białym żaglem wplątana w listowie
stygnie w sieci tej zielonej łódź.
Zanim mgnienie ją powiek wyłowi
i obłoki pozwoli jej pruć.

Ektoplazma księżyca na wodzie
w połyskliwy wydłuża się szlak,
zanim statek ją dziobem przebodzie
i na pokład zarzuci na wspak.

Dwa obłoki za zbiegiem w pogoni
aż na nieba wypłynęły brzeg,
ale statek już zdobycz uronił
i ciemnością zakrywa swój bieg.

Pewnie fali je połysk przywabił,
że po płynnym ślizgają się szkle
skrzydełkami z białego jedwabiu
dwa motyle, drżące krople dwie.

W lot ich wpatrz się aż do niewidzenia,
byś skojarzył ich w nicości ślub,
a powrócisz je do nieistnienia,
a odsuniesz od nich płynny grób.

Chwalę morze szumiące bez końca
u wybrzeża otwartej powieki,
a pod stropem błękitu i słońca
na przestrzeni rozpięte dalekiej.

Jak nóż w piersi wbity po rękojeść
w łono morza przylądek zachodzi.
I obnaża się rozkosz i boleść
tajemnicy zgonu i urodzin.

KOLONIE

Janusz Włodarski

Ale bo przez kolonizację te wszystkie awantury. I „pan" też wszystkiemu winien.

Bo „pan" wspomniał coś o koloniach.

Więc Pętelka zapytał:

— Proszę pana, a co to są kolonie?

— Teraz jest lekcja. Na dygresje nie ma czasu.

My zrozumieliśmy zaraz, że pan powiedział coś bardzo mądrego. Dygresje.. Co to może znaczyć? Ja nie wiem, Pętelka nie wie i nikt z klasy na pewno nie wie. A pan wie!

Na dużej pauzie poszedł do pana Kołderkiewicz.

— Proszę pana, ja chciałem... tego... jak to z tymi koloniami?

— Trzydzieści złotych kosztuje na jeden miesiąc. — I pan pobiegł zaraz do pani od śpiewu.

Jak pan rozmawia z panią od śpiewu, to zaraz są „ważne sprawy" i nie wolno przerywać. A jak ja miałem na lekcji ważną sprawę do Pętelki, to nas pan do kąta postawił. Nie ma sprawiedliwości.

Na lekcji pan zapytał Kołderkiewicza:

— Chcesz jechać na kolonie, co?

— Nie...

— Więc co mi zawracasz głowę? Nie wiesz, że mam ważne sprawy?

— Ale ja chciałem...

— Wiem, wam się wszystkim zawsze czegoś chce.

— Ale kiedy ja o inne kolonie... o te... no... angielskie, francuskie.

— Teraz jest lekcja polskiego. Nie czas na dygresje...

— Ale ja...

— Wiem, wiem, lekcji kawałek chciałbyś urwać.

Więc jak zobaczyliśmy, że z „panem" nie ma co, powiedziałem, że pójdę do pani katechetki. Bo ona od „pana" mądrzejsza. Bo ona prawie tak jak ksiądz — i w ogóle.

Katechetka uśmiechnęła się.

— Byłeś w niedzielę w kościele?

— Byłem, no przecież.

— No to w porządku. To idź do klasy, bo się spóźnisz.

— Ale ja chciałem zapytać...

— Aha... Dzisiaj nie ma postu, nie ma..

— Ja wiem...

— No to idź do klasy.

— Ale... co to są kolonie?

— Ano, widzisz, dziecko, na kolonie wysyłamy misjonarzy, żeby nawracali murzynów.

— To tam są murzyni?

— Są. Idź już, idź...

Powiedziałem w klasie, że w koloniach są murzyni. Ale Ściankowski mówi, że w cyrku też są. Więc znowu nic nie wiemy.

W drugiej B jeden drugoroczny był, co podobno wszystko wiedział. Więc my do niego; ale on mówi, że się na tym nie zna, i że jego wujek ma sklep kolonialny, a ciocia to na pewno wie, ale nie powie. Bo ona zawsze taka, jak co ważnego, to mówi, że dzieciom nie wolno. A jak mniej ważne, to głupstwa.

Nie było innej rady, trzeba było jeszcze raz iść do naszego „pana".

Poszliśmy.

„Pan" czyścił sobie właśnie scyzorykiem paznokcie. Stał w końcu korytarza pod oknem. Ukłoniliśmy się. „Ważnych spraw" nie było, bo pani od śpiewu poszła już do domu, i pani katechetka też, więc pan zapytał:

— Co chcieliście, chłopcy?

— Proszę pana, co to są kolonie? Proszę pana!

— Aha, chcieliście wiedzieć, co to są kolonie. Więc jeżeli jakieś państwo jest silne i ma za mało ziemi, to zajmuje ziemię ludzi o znacznie niższej kulturze. Wiecie, co to jest kultura.

— To... jak kto jest mądry, jak dużo umie...

— No, mniej więcej. O tym zresztą będziecie się uczyli w starszych oddziałach.

Ukłoniliśmy się jeszcze raz i odeszliśmy.

Następnego dnia był znów polski. Pan pytał kogoś z rzędu od okna, a ja i Pętelka siedzieliśmy od drzwi. Więc Pętelka wyciągnął marki i zaczął mi pokazywać.

— O, widzisz, masz tę Amerykę?

— No, przecież, że mam.

A taką Anglię?

— A... pokaz... nie mam.

— A tej z Sobieskim też nie masz?

— Nie.

— A popatrz no, ta niemiecka... Masz taką?

Chciałem mieć, ale nie miałem.

— No, tej Australii to na pewno nie masz!

Złość mnie wzięła:

— Nie, jeszcze nie mam...

Chwyciłem Pętelkę za rękę i wyciągnąłem mu markę:

— Ale teraz już mam!

— Oddaj!

— Siedź cicho!

Kopnął mnie pod ławką.

— Nie zaczynaj, bo dostaniesz...

— Spróbuj tylko!

— Jestem silniejszy...

— Złodzieju!

— No, zobaczysz, zobaczysz, jeszcze po zębach dostaniesz...

— Panu powiem, będziemy widzieli!

— O, skarżypyta!

Pętelka był już bliski płaczu. Podniósł wysoko rękę.

— Proszę pana!

Pan spojrzał na niego.

— Czego chcesz?

— A... bo on mi markę zabrał!

— Jakto zabrał?

— A... nie chce oddać.

Pan zwrócił się do mnie:

— Dlaczego mu zabrałeś markę?

— Bo nie mam takiej...

— No to co z tego?

— A poza tym jestem silniejszy od niego i mądrzejszy... więc... to tak, jak kolonie...

— Jak możesz wyzyskiwać swą siłę? oburzył się pan, a ja tymczasem ukłułem Pętelkę szpilką. Więc on znowu:

— Proszę pana, on się kłuje.

— Dlaczego się klujesz? — pyta pan.

A ja po cichu do Pętelki:

— Skarżypyta...

— Proszę pana, on się przezywa!

Cierpliwość „pana" już się wyczerpała.

— Zostaniesz po lekcjach w kozie — powiedział do mnie.

Zostałem, pan też został.Płakał prawie z żalu nad moją młodą a spaczoną duszą, pomawiał mnie o przyziemne instynkty. Wreszcie odtworzył przede mną wizję przyszłości tak ciemną, jak czernidło do butów.

Potem obiecał jeszcze zająć się tą sprawą na zebraniu rady pedagogicznej.

I napisał do moich rodziców: że mają na mnie uważać, bo mogę się łatwo wykoleić.

I jeszcze zamknął mnie na dwie godziny.

Wszystko przez kolonie.

MYDLANYCH BANIEK STWORZYCIELKO

Tadeusz Różewicz

Na złotej słomce
kropla wody
stężona tęcza
tchnęłaś stworzycielko
w szary pąk
twórczą iskrę
tęczowy drżący obłok zakwita
pustka zamknięta
w kolistość cieniutkich
wodnych szybek
odrywa się kwiatem
od złotej łodygi
uderza w eter...
płynie...
przedłuża o przestrzeń
twe usta.

MODLITWA PRZED BURZĄ

Jan Wolf

Wieczór szumi w czarnych oceanach,
W drzewach rośnie zielony niepokój,
A w powietrzu krwi płonąca piana
Bruzdą spływa z błyskawic obłoku.

Niebo w szorstką opada strzępiastość,
Skrzydła szumu kołują nad światem.
Do twych oczu spod chmur ciężkich zasłon
Zastęp sosen nadciąga włochatych.

Wozy dudnią: karawany kół.
W oknach kwitną złych błyskawic róże.
Składasz ręce, przyjacielu mój,
i modlitwą chcesz zażegnać burzę.

młodych

MŁODOŚĆ

Romana Buzkówna

W oczach przejrzystych jak górskie źródła,
W jasnym, nieklasycznym czole,
W nocnych, wietrznych lotach na pstrych skrzydłach
Nad uśpionym miastem w dole, —
Jest zawsze.

Łopotem ptaka — w klatce się tłucze —
W białym pokoju. I słucha,
Jak wiatr w ośnieżonych jodłach huczy.
I jednym płucem oddycha.
I płacze.

W szarej wnęce gotyckiego okna,
W tęczowych blaskach witraży,
Choć zimna włosienica brunatna, —
Ognistym znakiem na twarzy
Rozkwita.

I choćby wszystkie drzewa palcami
Krzywymi suchych gałęzi
Do ziemi ją przykuły włosami,—
Ku gwiazdom zawsze rwać będzie,
Ku mitom.

W STRONĘ NOCY

Jan Marszałek

Iść — w sinej glorii świateł w głąb nieznanej nocy —
nogami bosymi zrywać czarną rosę o chłodzie —
szumiącym wiatru wiosłem po szklanej uderzać wodzie
i budzić w smutnej zieleni szorstkie jak zieleń głosy.
Niech mnie pod niebo pochmurnym, czarnym, leniwym rozłogiem
oszumią po mrocznych puszczach miesięczne świerków pieśni —
zwichrzone dębów litanie wiatr niech obłokiem rozniesie
i rzuci w kwitnące pola ciernistym zawiane głogiem.
Pod czernią nocy nieczułą, w mdłych świateł milczącym blasku
nastroję serce gorące na mocny, wyniosły ton —
by w świętym z ziemią przymierzu płonącą wywiódłszy jasność
śpiewem dźwięczniejszym od spiżu rozpłonąć jaśniej od słońc.

ZŁA ŚMIERĆ

Jan Horyń

Gdy czas spłynie godzinami w niepamięć
I zatopi mnie w smutku i trwodze,
Wtedy czarne pod nogami otchłanie
Życie nagle mi w nocy otworzy.

Przerażenie w swe oczy pochłonę,
Świadomością mroźną serce mi zadrga
— lampa skrwawi się światłem czerwonym —
...i zastygną złe słowa na wargach.

CIEKAWY DEBIUT

Stanisław Kazimierz Trawkowski — Młodość niespokojna — Mała Biblioteka „Kameny". t. I. Chełm Lubelski. 1938, str. 16.

Młody poeta łódzki, Stanisław Trawkowski, szukając wydawcy znalazł go aż w Chełmie Lubelskim i tam zadebiutował pod opiekuńczymi skrzydłami K. A. Jaworskiego. Trudno — w Łodzi nie wydaje się poezji — zwłaszcza nie przeznaczonej „na obchody i uroczystości".

Na wizerunek poety składa się dziś na podstawie jego zbiorku jeszcze niewiele rysów, jeszcze niewiele z siebie potrafił on przekazać swej poezji. Także szczupłość zbiorku i nierówny poziom zawartych w nim wierszy nie pozwalają, by profil poetycki Trawkowskiego zarysował się wyraźnie i trwale.

Da się w każdym razie zauważyć chwiejność, niezdecydowanie, miękka — czasem wprost kobieca — postawa wobec rzeczywistości; widać już trochę pozy — próby kokietowania starczością — mimo 18 lat, mimo niewątpliwą młodzieńczość.

Ta młodość jednak, którą poeta nazwał nie-niespokojną, jest raczej smutną, raczej przestraszoną życiem, niż — jak przyzwyczailiśmy się — buntowniczą, niż niespokojną. Bo i —

„Po co buntowniczymi wierszami
burzyć nad przepaściami
zawieszone mosty?
... Klasztory spowite w kir
modlą się za umarłych".
(„Rozmowa z sobą, str. 12).

Najważniejsze jest przecież —

„... życie codzienne
poezja najszczersza
niekłamanymi pisana wierszami.
najbardziej smutna i najbardziej radosna
poezja zwykłego dnia". (ibd. str. 13).

Lecz życie, szarość „zwykłego dnia" musi rozjaśnić — miłość —

„... I miłością wrastać w świat
— kochać, kochać, kochać"
(„Elegia pierwsza" str. 9).

Oto jest ludzkie credo Trawkowskiego, oto cała jego życiowa filozofia. — „kochać".

Ten ciepły nurt miłości przewija się przez cały tomik, choć może w niektórych wierszach jeszcze nieujawniony, choć przez nieświadomą młodość rozmieniony na drobne sentymentalizmu.

„To jest moja młodość osiemnastu lat
Gdzie czasem szczęście wybłękitnieje twymi oczyma".
(„Elegia o smutnej młodości„ str. 15).

Przelotnymi wzruszeniami, sentymentalizmem stara się ratować poeta przed grozą życia, grozą świata, którą spostrzegły szeroko w strachu rozwarte i rozumiejące już oczy.

„Nie wiesz, jak myśl każda
jak dzień każdy, jak rzecz każda
jest straszna:
lampy uliczne coś nocą szepczą;
olchy zimą zmarznięte skarżą się — płaczą,
puste pola komuś wiatrem złorzeczą.
I nie ma przed tym ucieczki!"
(„Elegia o smutnej młodości" str. 15).

Ale inne wiersze — „Elegia pierwsza" czy „Modlitwa dla kochanej dziewczyny" dowodzą, że poeta przed dręczącym go koszmarem ucieczkę znajdzie, że wyzwoli się odeń, jeśli pójdzie tą drogą, na którą już — nieświadomie może — wstąpił.

A ucieczką tą może być tylko — miłość. Miłość chrześcijańska — dla całego świata.

Jeden wiersz jest w tomiku tym dysonansem — to „Na mapniku". Jego obecność da się tylko wytłumaczyć chęcią wypróbowania możliwości poetyckich w odrębnym zakresie. Jeśli tak, to jako etiuda, jako rodzaj ćwiczenia poetyckiego — jest udany.

W każdym razie młody poeta przez swą smutną młodzieńczość, twórcze przemyślenia, przez nieśmiałe próby budowania na potędze wszechmiłości poezji szarego dnia, a przy tym ze względu na niewątpliwe wartości formalne — stanowi zjawisko ciekawe, a jego — pełne świeżości poetyckiej, własnych, niebanalnych wyrażeń i wyobrażeń, świetnie uwypuklających nurt uczuciowy — wpół już dojrzałe wiersze — interesującą zapowiedź dalszego rozwoju.

Tego młodzieńczego poetę cechuje prawie że dojrzałość w doborze środków artystycznych. Nawet umiejętnym układem graficznym podkreśla on częstokroć sens utworu. Mimo, iż pisze wierszem nieregularnym, dobrze zresztą opanowanym (uniknął zupełnie „wodolejstwa" i nawet tej „waty" poetyckiej spotykanej przeważnie w wierszach regularnych), mimo że odrzuca rekwizyty poezji tradycjonalistycznej, jak rym i rytm, cechuje jego wiersze jakiś podskórny, wyrazisty rytm, który spaja każdy wiersz i potęguje urok poetycki.

Słowem — doskonały start, duże zadatki rozwojowe.

W. L. B.

●

Homeryckie zmagania powstającej Polski z ościennymi zakusami, powstanie wielkopolskie, walki o Śląsk, obrona Lwowa, odparcie najazdu bolszewickiego — na długo jeszcze będą stanowiły najbardziej pedagogiczną epopeję przez swój ofiarny patriotyzm predystynowaną dla wszystkich, a przede wszystkim dla nowej młodzieży, wyrastającej w zgoła innych warunkach. Z tego materiału czerpie też **Jerzy Schwarcenberg-Czerny** w zbiorze wspomnień i nowel p. t. **„Bemaki. Gawędy żołnierskie"** (**Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska"**, Warszawa). Opisuje rzeczy przeżyte bezpretensjonalnym, lecz autentycznym piórem; nie ma ambicji, którym by nie sprostał — chce mówić po prostu o bohaterstwie. Ton subiektywny przybliża wiele już odległych epizodów i usprawiedliwia najdrobniejsze nawet wspominki. Jest to książka, w której krew polska i historia zostawiły swój pouczający ślad — i dlatego właśnie „Bemaki" powinny się znaleźć w ręku młodzieży, choć nie dla młodzieży były pisane.

G. T.

MOCNE WSPOMNIENIE — NOWELA

Mieczysław Zydler

Wspomnienie moje pochodzi z pierwszego okresu wojny polskiej z bolszewikami. Leżałem wówczas w szpitalu polowym w Dokszycach na Wileńszczyźnie i gorączkowałem paskudnie, od czasu do czasu tracąc przytomność. Ocknąwszy się razu pewnego z takiego stanu pół omdlenia pół snu zobaczyłem na sąsiednim łóżku obcą jakąś twarz, zwróconą ku mnie szklanymi, niewidzącymi oczami. Błyszcząca od potu i zielonkawa w matowym świetle pochmurnego zimowego poranka, z cienkimi, wydatnymi mięśniami, ściągniętymi w Chrystusowy wyraz cierpienia, była dla mnie niespodzianką, która dojęła mnie do żywego i rozgniewała.

Przyzwyczaiłem się już, że po prawej ręce miałem łóżko puste. Teraz zaś ten wytrzeszczający oczy kandydat na umarlaka miał mi poważnie wejść w paradę. Doznawałem piekielnych bólów w trawionej gangreną nodze.

Pomimo wszystko pewnego dnia zdałem sobie nieoczekiwanie sprawę z tego, jak ciężki był mój stan — dotychczas trwałem w tępej, obojętnej nieświadomości — i jednocześnie stało mi się niemniej oczywiste, że najgorsze jest już poza mną. Odczułem także po raz pierwszy zazdrość wobec lewego swojego sąsiada, kaprala Bartkowiaka, rdzennego poznańskiego „pierona", który z głośnym siorbaniem jadł właśnie z wyszczerbionego talerza jakiś gęsty, nieokreślony płyn, podobny do lasowanego wapna. Zainteresowałem się otoczeniem, które dotychczas uważałem za dokuczliwe zło.

Po dniach szarych jak grypa, przyszła kolej na pogodę jasną i słoneczną, która zwykle nieci w sercu ludzkim radość i otuchę.

Czułem się coraz lepiej. Moi sąsiedzi z lewej strony przychodzili również do zdrowia i przymawiali sobie wzajemnie coraz zjadliwiej, co nie przeszkadzało im zresztą dzielić się papierosami i wódką, przemycaną z miasteczka jakimiś tajemniczymi sposobami.

Mój prawy sąsiad przestał mi być wstrętny. Zresztą nie wytrzeszczał już oczu, z których zniknęła mu malignа. Patrzył przytomnie, chłodno. Wyraz jego orzechowych tęczówek do złudzenia przypominał zamarzniętą w bezśnieżny dzień sadzawkę.

Wiedziałem już, że w cywilu był inżynierem. Tak przynajmniej tytułowała go siostra Jadzia, mała, drobna brunetka o ciepłych, wesołych oczach, które w zbliżeniu z prawdziwym cierpieniem umiały stawać się nie do uwierzenia głębokie. Darzyła go sympatią i względami, co wywoływało bolesny ucisk w moim sercu.

Co tu ukrywać... Kochałem się w siostrze Jadzi. Mój Boże, jakże mało przedsiębiorcza była ta miłość... Na prawdziwie męskie uczucie byłem jeszcze zbyt słaby, zarówno duchem, jak i ciałem. Ale jeżeli Jadzi długo nie widziałem, tęskniłem szczerze. Kiedy zaś kładła mi chłodną dłoń, pachnącą mydłem, na czole — co niestety zdarzało się teraz coraz rzadziej — wstrząsała mną cicha radość. Kiedy zaś z tkliwym wejrzeniem pochylała się nad inżynierem, odczuwałem piekącą gorycz i zazdrość.

Sąsiad mój, pomimo szpakowatych włosów, nie mógł mieć więcej nad lat 40. Musiał wiele przeżyć, cechowała go bowiem ta spokojna równowaga, która różni się zasadniczo od wrodzonej flegmatyczności i zazwyczaj bywa nabyta kosztem bardzo dotkliwych doświadczeń. W spokoju tym było niemało opanowanego umiejętnie smutku, może tajonej rezygnacji. Musiałem przyznać, że człowiek ten umiał znakomicie panować nad sobą, skoro po odzyskaniu przytomności potrafił w atakach największego bólu uśmiechać się do siostry Jadzi tym swoim równym, spokojnym uśmiechem, w którym było coś z dobrodusznego przekomarzania się starszego mężczyzny z młodą dziewczyną. Wówczas w tym zachowaniu się inżyniera dopatrywałem się rodzaju niewczesnej kokieterii. Przekonałem się jednak później, że się myliłem. Plutonowy Renn uśmiechał się również i do nas a uśmiech jego był niemniej ujmujący.

Tak, posądzanie inżyniera o zalotność było oparte na urojeniu zazdrosnego i — dzisiaj to widzę — śmiesznego Otella. Wtedy jednak uważałem, że Jadzia przesiaduje przy nim stanowczo więcej, niż wymagały tego od niej obowiązki pielęgniarki. To prawda, że był ciężko ranny, ale nie mogły mi się podobać te ich długie, szeptem prowadzone rozmowy po nocach.

— Więc pozwoli mi pan napisać do żony? — usłyszałem kiedyś w taki właśnie późny wieczór.

Lampka naftowa, ustawiona na podłodze, rzucała fantastyczne cienie sprzętów na ściany i sufit a oświetlając z dołu drobną Jadziną twarzyczkę nadawała jej wyraz niecodziennej, groźnej powagi. Łóżko moje jeszcze za dnia dosunięto do łóżka inżyniera, bowiem z powodu ofensywy polskiej na Połock należało przygotować miejsce dla nowych rannych.

Z plutonowym Rennem było bardzo licho. Gorączka wypaliła się w nim wprawdzie, ale zarazem spadła poniżej minimum, zdradzając niebezpieczne dla życia osłabienie serca. Jadzia, siedząc przy łóżku inżyniera, oparta jednym ramieniem o poduszkę, wpatrywała się w niego z natężeniem.

„Jest żonaty" — ucieszyłem się i zadowolenia mojego nie mogło nawet zgasić ciepłe spojrzenie, jakim Jadzia poparła swoje zapytanie.

Inżynier poruszył leniwie głową.

— Czyżbym już umierał, siostro?

— Proszę nie pleść głupstw, mój miły panie! — Wdzięk, z jakim siostra Jadzia usiłowała udawać surową, zachwycał mnie zawsze, nawet jeżeli nie do mnie był adresowany. — Ale na pańskim miejscu postarałabym się zobaczyć z żoną... W gorączce tylko to jedno imię umiał pan powtarzać, wciąż Marto i Marto! — i głos kobiecy zniżył się do miękkiego, gorącego szeptu.

Wobec tego wielkiego zjawiska, jakim jest miłość, każda kobieta staje onieśmielona, spłoszona.

Tak, teraz wiem o tym, ale wtedy wydało mi się, że drżenie jej szeptu wywołał ból i zawiedziona, gotowa do wyrzeczeń i poświęceń miłość dziewczęcia, które do chwili szczęścia lub nawet zwykłej radości ukochanego, gotowe jest zapomnieć o sobie. Zresztą o takiej miłości my, mężczyźni, wiemy bardzo mało, chociaż radzi ją przyjmujemy, jako coś należnego nam i samo przez się zrozumiałego. I to nie tylko wtedy, kiedy mamy mleko pod nosem i o kobietach odzywamy się z zarozumiałą, głupią wyższością...

— Pan jest rozumny i dobry — szeptała Jadzia. — Tak jest, proszę nie kręcić głową i nie wykrzywiać ust tak gorzko.

Pochyliła się tuż ku twarzy rannego odsłaniając światło lampy. W półmroku migotliwymi płaszczyznami światła i cienia zarysowała się wysubtelniona przez mękę twarz inżyniera.

— Napisałabym ten list, tylko proszę mi podyktować...

Renn znowu poruszył głową powoli na poduszce w prawo i w lewo. Wyraz cierpienia stopniał mu w ciepłym, chociaż nikłym, z trudem przywołanym uśmiechu. Pomiędzy cienkimi wargami zalśniły zęby. Jednak dziewczyna nie dawała za wygraną.

— Przecież pan tak bardzo za nią tęskni...

W wychudzonej szyi rannego wydatne jabłko Adama podskoczyło do góry, opadło w dół i znowu się podniosło.

— To nie może być, siostrzyczko — przełknąwszy ślinę powiedział słabym, ale nadspodziewanie wyraźnym głosem.— Wiem, że przyjechała by, ale... to ja sam od niej odszedłem... Przed 8 laty... Proszę mnie zrozumieć.

Jadzia wyprostowała się porywczo.

— Na mój dziewczyński rozum — powiedziała z żalem — to względy ambicji i prestiżu, czy jak wy tam jeszcze te konwencjonalne wymysły nazywacie, powinny iść czasami w kąt. Jeżeli pan pierwszy wyciągnie do żony rękę na zgodę, to chyba pański honor żadnej ujmy nie dozna — zakończyła głośniej.

Siostra proszącym gestem położyła dłoń na chudych palcach inżyniera, przykrym, trupim blaskiem odcinających się w półmroku od ciemnego, szpitalnego koca.

— A więc?... — tchnęła ledwie dosłyszalnym szeptem.

W tej chwili zasłona z rzęs, przez którą obserwowałem tę scenę, zgęstniała nieoczekiwanie, powieki mi się przymknęły i zasnąłem.

Lekarz naczelny naszego szpitala nie był przez rannych lubiany. Rękę miał ciężką i z sali opatrunkowej dochodziły nieraz wycia, które z normalnym głosem ludzkim niewiele miały wspólnego. Był za to bardzo wytworny w gestach i mowie. Kiedy po upływie tygodnia od podsłuchanej przeze mnie rozmowy Jadzi z inżynierem ukazał się pewnego pogodnego południa w otwartych drzwiach naszego pokoju i swoim zwyczajem zatrzymał się w nich przez chwilę — miał w twarzy wyraz przyjaznej, chociaż nieco wyniosłej łaskawości.

Obrzuciwszy nas długim, nieprzyjemnym spojrzeniem—od którego w zgruchotanej nodze poczułem dotkliwe uczucie — skierował się w stronę łóżka inżyniera. Stojące pod ścianą wiedeńskie krzesełko, które zwykle zajmowała siostra Jadzia,

zatrzeszczało pod pulchnymi, nieco kobiecymi kształtami lekarza.

Co do Jadzi, to niestety nie mogłem dłużej się łudzić. W miarę jak z dnia na dzień odzyskiwałem siły i wiarę w swoją hm... hm... dwudziestoletnią męskość, papiery moje bez żadnej wątpliwości spadały. Teraz, kiedy przychodziłem do zdrowia, stałem się dla Jadzi obiektem, meblem, który dotyka się wprawdzie czasami niewidzącym wzrokiem, ale bez żadnego zainteresowania. A przecież tak niedawno jeszcze, kiedy umierałem z gangreny, potrafiła patrzeć mi w oczy z tkliwym niepokojem.

Lekarz musnął krótkim, fachowym spojrzeniem fantastyczną krzywą temperatury inżyniera.

— Rad jestem, panie plutonowy — odezwał się strzepując z kolana niewidzialną jakąś nitkę — że niebezpieczeństwo już minęło, powiadam, minęło. Teraz mogę stwierdzić bez obawy, że pogorszy to pański stan, ale było z panem niedobrze, nawet zupełnie źle.

Inżynier uśmiechnął się, ale uśmiech ten wydał mi się mniej ujmujący niż zwykle. Nie od razu też odpowiedział na łaskawe słowa majora. Przesunął palcami po szpakowatej czuprynie, dzisiaj już nie pozlepianej w kosmyki, lecz starannie zaczesanej do góry. Wyglądało to tak, jakby myśli zbierał. Był gładko ogolony i chociaż patrzyłem na niego codzień, to jednak dopiero teraz, może na skutek zestawienia ze zdrową twarzą zadowolonego z siebie majora, zauważyłem, że przedstawiał uderzający typ męskiej urody. (Niezawodnie siostra Jadzia zauważyła to wcześniej ode mnie)... Pomimo że linia jego lwiego czoła, nosa wyrzeźbionego przez uporczywą gorączkę, bladych, ale młodych jeszcze warg i wydatnego, energicznego podbródka — była wybitnie nieregularna tworząc jedną z tych rzadkich twarzy, które raz widziane, pozostają w pamięci na zawsze.

— Sukces to może niemniejszy — odezwał się wreszcie żartobliwie, chłodnym wejrzeniem dotykając jasno-niebieskich, wypukłych oczu lekarza — niż tunel, którym przed dwoma laty połączyłem M a n h a t t a n z J e r s e y C i t y, prawda, panie majorze?... Zresztą zawdzięczam go zapewne pańskiej biegłej pomocy...

Protekcjonalny uśmiech opuścił okrągłą twarz lekarza ustępując miejsca wyrazowi zdziwienia, a nawet zaskoczenia.

— M a n h a t t a n z J e r s e y ? . . . — powtórzył przeciągle. Również i w zabarwieniu jego głosu zaszła wyraźna zmiana. Znikła łaskawość, zabrzmiała natomiast grzeczność i gotowość do usług. — Od razu nazwisko pana inżyniera wydało mi się znajome, ale nie przypuszczałem, że to pan właśnie jest tym sławnym naszym rodakiem... Ren... Krzysztof Renn. — powtarzał rozpromieniony i w swoim entuzjaźmie prawie sympatyczny. — Więc to pan... Ale jak to się stało, panie inżynierze, że wrócił pan do starego kraju i walczył w naszym wojsku w takiej skromnej szarży?

W kąciku bladych ust inżyniera ukazała się drobna zmarszczka ledwie dostrzegalnego znużenia a może i niechęci.

— Pan daruje, panie majorze, ale to bardzo zwyczajna sprawa — powiedział z ociąganiem. — Prosty obowiązek Polaka... Niech mi pan lepiej powie, dlaczego mi tak nogi ciążą... Mam wciąż takie wrażenie, jakby leżał na nich wielki, parutonowy ciężar.

— N o g i ? . . . — przeciągnął lekarz. — Ach, to objaw przykry, rzeczywiście bardzo przykry, ale typowy w podobnych wypadkach, z czasem minie na pewno.

Na smudze oślepiającego światła słonecznego, które wpadało z korytarza złocąc proste deski podłogi, ukazał się i nieruchomo zatrzymał jakiś wydłużony cień.

— Czy mogę mówić z plutonowym Rennem? — odezwał się od progu kobiecy alt. Nie był to wesoły, chwilami pełen żartobliwej przygany głos siostry Jadzi, chociaż kobiecego ciepła miał na pewno niemniej. Brzmiał w nim powściągany niepokój, może nawet trwoga.

Przeciągnąłem wzrokiem po wysokiej, wysmukłej postaci, która zabierała nam słońce. Od popielatych botów, poprzez ciężkie karakuły aż po elegancki kapelusz i chmurę jasnych włosów, które prześwietlone przez słońce, płonęły dookoła małej głowy złotą, puszystą aureolą. Po czym spojrzałem na inżyniera.

Nie zrobił żadnego ruchu, nie drgnęły mu nawet dłonie na kocu, ale był biały jak poduszka, na której leżała jego męczeńska głowa a cienie pod oczami stały się intensywnie granatowe.

Natomiast lekarz porwał się na nogi, w szarmanckim porywie przewracając z łoskotem krzesło.

— Prosimy bliżej! — rzucił się ku gościowi. — Inżynier Renn leży właśnie tutaj i ma się o wiele, powiadam, o wiele lepiej.

Młoda kobieta zbliżyła się. Teraz, kiedy wyszła ze słonecznej smugi, która raziła nas w oczy, mogłem przyjrzeć się jej lepiej. Szła swobodnie, ale twarz miała prawie równie białą, jak mój szpakowaty sąsiad.

— Jak się masz, Krzychu! — odezwała się.

Inżynier najwidoczniej już się opanował. Przezroczystą dłonią zrobił przedstawiający ruch.

— Lekarz naczelny naszego szpitala, Marto! — rzekł niedbałym tonem nudzącego się światowca... — moja żona!

Przybyła pani usiadła na krześle. Nachyliła się nad łóżkiem i ostrożnie, niby jakiś misterny bibelot, ujęła woskową dłoń męża.

— Jakiś ty blady, Krzychu! — powiedziała niskim szeptem. — To tylko dlatego nie poznałam cię od razu, bo zresztą nic się nie zmieniłeś.

Major z niecierpliwym skrzypieniem lakierów przeszedł się po pokoju. Wreszcie widząc, że jest niepotrzebny, zatrzymał się znowu przed łóżkiem inżyniera.

— Pani daruje, ale czas na mnie — odezwał się miodowym głosem. — Służba nie drużba!... Mnóstwo, powiadam, mnóstwo roboty. Spodziewam się jednak, że nie odmówi mi pani tego zaszczytu i zechce spożyć obiad w moim towarzystwie...

— Te, „pieron", ty słyszał?... — zaśpiewał z lwowska sąsiad kaprala Bartkowiaka, skoro ucichły na korytarzu kroki doktora. — Alllle żołnierz si znalazł!

— Takie coś to nie podobna! — odrzekł oburzony poznańczyk.

Renn wyswobodził delikatnie palce z ręki żony.

— Jak widzisz, Marto — uśmiechnął się pogodnie — chirurgia nie cieszy się u nas uznaniem.

— Krzychu! powiedziała z dziwnym akcentem.

Inżynier zdawał się nie słyszeć.

— Kto cię zawiadomił, że jestem ranny? — zapytał.

— Siostra Jadwiga. Czy jesteś z tego nierad?

— Co prawda mogłem się tego domyślić. Ciekaw jestem skąd wydostała twój adres... Chociaż właściwie, mniejsza z tym!... Dziękuję ci — dodał lekko. — Musisz być zmęczona. Te wojenne połączenia kolejowe są bardzo uciążliwe...

Wygłaszał uprzejme, zdawkowe frazesy, ale głos mu drżał. Właściwie dotychczas nie przywitał się z żoną, nie pocałowali się, nawet nie uścisnęli sobie dłoni. Jednak ona patrzyła na niego tak, jak tylko miłość patrzeć umie. „Szczęśliwy stary!" — pomyślałem... A on?...

Czy może odwiedziny te poruszyły w nim zamilkłe, martwe już struny i po prostu bolały go?...

Odwróciłem dyskretnie głowę, ale słyszałem każde ich słowo.

— Słuchaj, Marto!

Człowiek ten nie przestawał mnie zadziwiać. Zniknął bez śladu drżący przed chwilą ton jego głosu, w którym drżał teraz dźwięczny metal stanowczej decyzji. Tonu tego musiał zapewne używać inżynier Renn, „wielki Renn", w najdonioślejszych chwilach swojego życia, kiedy przedstawicielom ciężkiego przemysłu przedstawiał swoje śmiałe plany, kiedy przekonywał ich o realności i opłacalności swoich zamierzeń.

— Bardzo ci jestem obowiązany za twój trud, Marto, ale powiedz mi proszę, po co właściwie przyjechałaś tutaj?

Nie mogłem się powstrzymać i znowu odwróciłem głowę, aby spojrzeć na nią. Była spokojna, tylko wargi jej drżały, a u nasady szyi pulsowała niewidzialna żyłka, szybko, szybko, w takt udręczonego serca.

— Aby zostać przy tobie — powiedziała po prostu.

— Raz jeszcze dziękuję ci, Marto — rzekł po chwili bardzo cicho, chociaż wyraźnie. — Ale to niemożliwe, Marto.

Zdawało mi się, że przez oficjalne powtarzanie jej imienia stara się rozpaczliwie utrzymać pomiędzy nimi dystans, który ona usiłowała przełamać.

— Nie wiesz jeszcze wszystkiego...

Głos załamał mu się i zadrżał wyraźną męką. Przerwał więc, aby się opanować. Po chwili podjął już mocniej:

— Szpital i nasze cuchnące, ropiejące rany nie są dla ciebie odpowiednim otoczeniem!

Patrzyła na niego bez zmrużenia. Górna, nieco zbyt krótka warga drgała jej coraz silniej. Nagle w zewnętrznych kątach jej wielkich, przejrzystych, szarych oczu ukazały się dwie łzy. Zanim zdążyły stoczyć się po policzkach i spaść na kolana, aby wsiąknąć w ciemną wełnę sukni, już napłynęły drugie i trzecie. Płakała cicho, bez szlochu i tylko rozdygotane, świeże usta wygięły jej się

w dziecinną, litość budzącą podkówkę.

Poczułem złość na „starego". Tak, dla moich 20 lat był on rzeczywiście stary. Czemu się wzdraga, czemu się zgrywa jak kabotyn?... Do czego zmierza, odpychając od siebie tę cudowną kobietę, wobec której miła uroda Jadzi — jak to już dawno w duchu stwierdziłem — zbladła by jak lampa naftowa przy jupiterze?...

W swoich uczuciach nie byłem osamotniony. Pod kapralem Bartkowiakiem łóżko zatrzeszczało groźnie.

— Ady nie róbcie z siebie głupiego, plutonowy! — odezwał się z gniewem.— Powinniście, człowieku, tę swoją kobitę obu rękami przytrzymać i za serce jej podziękować, nieprawdaż?... Co się z wami ale stanie, jak wam obie giry utrąciło?

Gdyby można było wzrokiem zabijać, to prostoduszny poznańczyk padłby na pewno od tego spojrzenia, które poprzez moje łóżko cisnął w niego inżynier Renn. Było twarde jak stal bagnetu i palące od bólu, od gniewu, od upokorzenia... Ale miękło i łagodniało w miarę, jak przedłużała się ciężka, dzwoniąca w uszach cisza. Z głębi korytarza z sali opatrunkowej dobiegł stłumiony przez oddalenie krzyk. Przyjęliśmy go z ulgą.

Inżynier powoli odwrócił głowę. Spojrzał na żonę bezradnie, prawie pokornie.

— Widzisz, Marto — rzekł z jakimś bolesnym wyrzutem. — Chciałem ci tego oszczędzić... Ja przecież nie mam już nóg...

Nieśmiałym, przepraszającym gestem położyła dłoń na jego czole.

— Ależ, Krzychu! — powiedziała nabrzmiałym od łez szeptem. — Wiedziałam o tym! ...I nie rozstaniemy się już nigdy, słyszysz mnie mój mały?... Nigdy! — dokończyła z niewysłowioną słodyczą głaszcząc mu czoło i włosy delikatnymi muśnięciami.

Renn, wyraźnie zmieszany i zaskoczony, spojrzał przeciągle na żonę, która utonęła wzrokiem w jego oczach. Łzy spływały jej w dalszym ciągu po policzkach, ale usta już się uśmiechały. Był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy mężczyzna i kobieta przenikają się na wzajem i stapiają się w jedno.

— Ty mnie chyba kochasz? — szepnął.

Wsparł się na rękach, podciągnął i usiadł. Po raz pierwszy o własnych siłach. Jakże zmienione miał oblicze!.... Patrzyłem oto na radosną, prawie chłopięcą twarz człowieka szczęśliwego. Zdumiałem się... Czyżby odzyskanie wiary w kobietę znaczyło aż tak wiele?...

Pytano mnie niejednokrotnie, jakie wyniosłem z wojny najsilniejsze wrażenie. Cóż, widziałem i przeżyłem niejedno. Ale najmocniejszym wspomnieniem pozostanie dla mnie nie huraganowy ogień artyleryjski w okopah i nawet nie ów mroźny poranek w białoruskich śniegach, kiedy zbyt bliski wybuch nieprzyjacielskiego granatu zrobił mnie na zawsze kaleką — lecz właśnie owa chwila, kiedy tych dwoje, siwiejący ułomek mężczyzny i ta bujna, urodziwa kobieta tonęli w sobie spojrzeniem. Może dlatego, że dane mi było zobaczyć prawdziwą mocniejszą niż nieszczęście i rozstanie— MIŁOŚĆ.

JAK KSZTAŁTOWAŁ SIĘ TYP WSPÓŁCZESNEGO ROBOTNIKA ŁÓDZKIEGO

Jan Augustyniak

Robotnik łódzki powstał w III fazie fabryki wielkoprzemysłowej t. j. w tym momencie, kiedy drobne warsztaty wytwórczości bawełnianej rozwinęły się w olbrzymie kompleksy oddziałów technicznych, zorganizowanych wyłącznie z punktu widzenia spekulacji handlowej.

Poczynając od roku 1870 do 1900 do Łodzi napływały fale ludu wiejskiego, rozcieńczające znajdujący się tutaj w przeważnej ilości element robotniczy, obcy, przeważnie niemiecki. Ten liczny napływ robotników ze wsi tłumaczył się z jednej strony faktem uwłaszczenia włościan, a z drugiej — tym, że reforma włościańska podniosła stopień zamożności wsi, która stała się lepszym odbiorcą produktów fabrycznych. Ponadto na ożywienie przemysłu łódzkiego wpłynęły: otwarcie rynków wschodnich, wybudowanie kolei warszawsko-petersburskiej 1860 roku i warszawsko-terespolskiej w roku 1866, odnogi kolejowej łódzkiej i dalej odcinków: nadwiślańskiego, dąbrowskiego i kaliskiego; cła protekcyjne z r. 1877 podwyższone do 1894 t. j. do traktatu z Niemcami, otwarcie rynków Dalekiego Wschodu; kredyty banków — Blocha, Handlowego, zagranicznych i t. p.

Datą ostatniej wielkiej fali ludu wiejskiego, która do łódzkich fabryk napłynęła, były lata 1900—1904. Fala ta przede wszystkim śpieszyła tutaj z najbliższych okolic t. j. z ziemi kaliskiej, sieradzkiej, łowickiej, opoczyńskiej, oraz z pobliskich wsi i miasteczek, napół rolniczych i napół rzemieślniczo-handlowych.

Ze środowisk tych przyniósł z sobą robotnik łódzki pewne fachowe już przygotowania do pracy w fabryce (ciesielstwo, bednarstwo, stolarstwo, kowalstwo); nawykł do pracy ciężkiej na folwarkach („od słońca do słońca") t. j. od wschodu do zachodu; niewielkie wymagania w zakresie płacy, gdyż jako robotnik otrzymywał najczęściej ordynarię t. j. wynagrodzenie w naturze; prócz tego nie był także wymagający na punkcie warunków mieszkaniowych, ponieważ na służbie dworskiej mieszkał w t. zw. „czworakach", których odpowiednikiem w mieście są „domy familijne". Pod względem socjalnym ten zastęp robotników łódzkich nie stanowił żadnej siły: podlegając oddziaływaniu patrymonialnemu dworu wiejskiego, gdzie bicie robotnika rolnego było zjawiskiem częstym — kandydat na robotnika fabrycznego tego okresu nie marzył nawet o jakiejkolwiek zbiorowej akcji natury socjalnej, tym bardziej, iż pod względem oświecenia stał na b. niskim poziomie i w 80 procentach nie umiał pisać; sztuka zaś czytania ograniczała się w tej sferze do czytania książki do nabożeństwa.

Ks. Wóycicki w książce swojej p. t. „Dzieje robotników przemysłowych w Polsce" podaje, iż w r. 1876 przemysłowiec J. Poznański podkreślił spokojne usposobienie robotników łódzkich. Wprawdzie w VI dziesiątku ubiegłego wieku łódzka klasa robotnicza z chwilą nastania okresu wielkoprzemysłowego staje się walcząca, lecz jeden z poważniejszych strajków r. 1892 miał charakter akcji prawie spontanicznej, którą władze rosyjskie w perfidny sposób zwekslowały na płaszczyznę zwykłego buntu, połączonego z rabunkiem, przez co brutalnie go zgniotły i w oczach opinii publicznej skompromitowały. Nic więc dziwnego, iż okres, będący przedmiotem opisu, miał charakter spokojny zarówno jako reakcja po nieudanej poprzednio walce, jak też i okres w którym brak było wszelkiej organizacji, któraby te siły ujęła w karby. Niski poziom oświaty wśród mas robotniczych, czynił je żywiołem martwym.

Pracę w fabrykach łódzkich otrzymywała więc przede wszystkim łatwo taka jednostka, która wnosiła znajomość jakiegoś fachu i własne narzędzia. Jakże więc często można było zaobserwować jeszcze w latach 1900 — 1905, iż przed bramą wielkiej fabryki w gromadzie oczekujących na otrzymanie zajęcia, wybijali się niejaką pewnością siebie rzemieślnicy, trzymający na ręku piłę, duży młot, lub narzędzia murarskie zebrane w „wiązkę". I zazwyczaj o pewnych godzinach zjawiał się przed biurem fabryki kierownik jakiegoś oddziału i przede wszystkim wywoływał do pracy tych, którzy od razu mogli stanąć przy warsztacie jako siły z punktu wydajne.

Pozostałe zaś szare, przeciętne szeregi niewykwalifikowanych kandydatów, zapełniały olbrzymie sale tkalni, przędzalni, lub — gorzej szarparni (wstępne prace przy przeróbce bawełny, gdzie pracuje się w maskach), bielnika lub farbiarni, gdzie znów ostre kwasy z reguły zatruwały robotnika już po kilku latach.

Przeprowadzony w organizacji przemysłu łódzkiego już dość dawno podział pracy i pewna specjalizacja — sprawiały, iż robotnik łódzki z łatwością opanowywał technikę fabryczną i już po kilku miesiącach a nawet tygodniach, stawał samodzielnie przy wyznaczonym warsztacie. Dotyczyło to szczególnie tkaczy i przędzalników. Kandydat na tkacza fabrycznego przechodził wstępną naukę tkactwa u przydzielonego mu przez dyrekcję oddziału samodzielnego tkacza, pracującego zwykle na dwu warsztatach. Taki „mistrz" tkacki, jeżeli go z uczniem nie łączyło pokrewieństwo, otrzymywał zwykle za naukę, na mocy prywatnej umowy z przyszłym tkaczem, jakieś wynagrodzenie pieniężne, a czasem wystarczył poczęstunek. Przeszkolony w ten sposób tkacz pracował początkowo na jednym warsztacie, później zaś, po roku, czy dwóch latach najdalej — otrzymywał również dwa warsztaty. Z biegiem czasu t. j. z chwilą wprowadzenia do fabryk łódzkich zasad naukowej organizacji pracy — tkacz łódzki otrzymywał do obsługi po 4, 6, 8 — a nawet więcej warsztatów. Przejście do tak intensywnego wyzyskania siły robotniczej mogło nastąpić tylko dzięki te-

mu, iż w robotniku łódzkim przez 1—2 pokoleń wytworzyła się już pewna dziedziczna niejako zdolność do tego rodzaju pracy.

W przędzalniach zaś początkujący młody robotnik przechodził naukę przędzalnictwa kilkoma etapami. Najpierw więc jako t. zw. „natykacz", obsadzający puste szpulki na wrzeciona, potem jako „przykręcacz" — bezpośredni pomocnik głównego przędzalnika, i wreszcie po wielu dopiero latach otrzymywał ogólny nadzór nad wielką maszyną, zwaną „selfaktorem" (samoprząśnicą).

W innych oddziałach fabrycznych jak np. w bielniku — drukarni, składalni — przeciętny robotnik, pracujący przy wielkich maszynach, nie potrzebował szkolić się specjalnie, gdyż fukcje takiego robotnika były na ogół proste (przewiezienie sztuki towaru, założenie jej na walce, odebranie i t. p.). Niektóre tylko stanowiska kierownicze wymagały pewnej rutyny, która z czasem przechodziła w specjalność (pakarze i składacze w oddziale składalni).

W oddziałach mechanicznych (stolarnia, ślusarnia, kuźnia i t. p.) pracują oczywiście tylko fachowcy. Do r. 1914 praca w tych oddziałach fabrycznych przemysłu włókienniczego niczym się nie różniła od takiejże pracy poza fabryką t. zn., że ślusarz zobowiązany był umieć zreperować zamek przy drzwiach, jak i dorobić część maszyny. Dzisiaj już jednak w wielkich zakładach następuje w tej dziedzinie specjalizacja: istnieją więc specjaliści stolarze — tylko do części maszyn drewnianych, ślusarze reperują tylko czółenka, mechanicy przy maszynach stolarskich, heblarniach, tokarniach, piłach mechanicznych i t. d. Ponieważ jednak nie ma reguły bez wyjątku, więc i tutaj zdarza się, że w oddziale mechanicznym znajdzie się „majster do wszystkiego". Dotyczy to jednak fachowców starej daty, którzy potrafią zaimponować niejednokrotnie inżynierowi. W pewnej fabryce np. pracuje staruszek, dawny cieśla wiejski, który okazuje się ciągle pożyteczny, bo wyrabia takie przedmioty, które są jeszcze w fabryce potrzebne, a których maszynowo nie opłaca się wytwarzać („kopystki" do farb, „siądy" — naramienniki do noszenia wody w windrach, trepy drewniane i t. p.). Przedmioty te ten cieśla wyrabia własnymi starymi narzędziami t. j. krzywym strugiem, toporkiem o ostrzu poziomym do zasady i t. p.

Zagadnienie życiowej kariery robotnika w fabryce istniało tylko dla robotników młodszych, obdarzonych pewnymi wrodzonymi zdolnościami i oczywiście pewną ambicją wybicia się. Pojęcie awansu zawsze było połączone z nadzieją na poprawę materialnego bytu, aczkolwiek i myśl przejścia do wyższej klasy społecznej odgrywała w takim wypadku pewną rolę. Możliwość awansu dla robotnika łódzkiego w potężnym przemyśle była duża. Robotnik niewykwalifikowany t. zw. podwórzowy, jeżeli posiadał choćby najprostszą sztukę pisania i rachowania łatwo awansował na starszego robotnika, którego podwładni z reguły tytułowali „panem majstrem". Awansem dla młodego przędzalnika było przejście do kategorii nadzorującego nad dużą maszyną przędzalniczą „selfaktorem". Stanowisko to odpowiadało w hierarchii fabrycznej owemu majstrowi podwórzowemu.



Świątek bezkidzki

Tkacz młodszy, zdolny, pracowity również myślał o stanowisku majstra tkackiego, którego rola polegała na reperowaniu kilkudziesięciu warsztatów (tworzących t. zw. „partie") podwładnych tkaczów oraz na zapisywaniu w książeczkach każdego tkacza, ile metrów towaru wyrobił w ciągu pewnego czasu. Tutaj już awans był nieco trudniejszy. Aspirant na majstra musiał znać dobrze strukturę warsztatu tkackiego, gdyż nie wolno mu było dopuścić, aby zepsute warsztaty zbyt długo stały bezczynnie, bowiem pensja jego zależała od ogólnej sumy należności, jaką otrzymywali podlegli mu tkacze. Poza tym, wobec wielkiej ilości chętnych na te stanowiska, zwierzchnicy nad tkalnią („saalmajstrzy", „obermajstrzy"), od których zależał awans na majstra tkackiego — pobierali, zupełnie zresztą nie krępując się, pewne kwoty od kandydatów na majstrów, którzy byli też na to przygotowani. Taka polityka nadmajstrów w opinii społeczności fabrycznej bynajmniej nie była potępiana.

W drukarni czy bielniku awanse robotników polegały znów na innej zasadzie. Oddziały te dzieliły się administracyjnie na sale, w których koncentrował się pewien odrębny rodzaj pracy. Nad każdą taką salą miał nadzór jakiś więcej rozgarnięty starszy robotnik, który też uchodził w gwarze robotniczej za majstra. Do obowiązków jego należało notowanie obecnych, odebranie towaru przywiezionego z innej sali i wydanie tegoż towaru przeróbce. Sama zaś praca np. w suszarniach, bielniku, prasowalniach była regulowana przez głównego kierownika najczęściej inżyniera chemika, który dla każdej maszyny opracowywał instrukcje i rzeczą owego majstra było, aby przepisy, zresztą nieskomplikowane, były dokładnie wykonywane. Natomiast w oddziale drukarni tkanin robotnicy marzyli o awansie na drukarza głównego, t. j. na kierownika wielkiej maszyny drukarskiej. Obowiązkiem takiego drukarza było umieć subtelnie uregulować liczne walce miedziane maszyny z odciskami negatywnymi oraz zw. „noże", które zbierały farbę, płynącą na owe walce, z odpowiednich koryt. Funkcje takie opanowywał każdy robotnik, pracujący przy tejże maszynie przez czas dłuższy. Toteż drukarzem, zarabiającym 20—25 rb. tygodniowo mógł właściwie zostać każdy robotnik, jeżeli... miał znów odpowiednią sumę na zapłacenie za awans właściwemu nadmajstrowi. W oddziale składalni

do stanowisk dobrze płatnych, do których dążył znów każdy robotnik tam pracujący, były stanowiska składaczy ręcznych i pakarzy. Praca ta polegała na estetycznym ułożeniu i związaniu sztuki towaru, zmierzonego przedtem na maszynie i przez tę maszynę ułożonego już w t. zw. „lagi“ (towar długości jednego metra). Pakarze znów zawijali różne sztuki towaru w papier. Prace te płatne były akordowo. Zdolny składacz i pakarz mogli zarobić od 10 do 20 rb. tygodniowo. W tym miejscu nadmienić należy, iż do pracy w oddziale składalni przyjmowane były (jeżeli chodzi o robotnice) żony i córki różnych wyższych pracowników fabrycznych, oficjalistów, majstrów, a szczególnie wdowy po zmarłych wyższych funkcjonariuszach, gdyż praca była na ogół lekka, a głównie czysta i przy tym dobrze płatna.

W oddziałach mechanicznych (ślusarnia, stolarnia i kuźnia) awanse dla rzemieślników były trudniejsze; zresztą rzemieślnicy byli na ogół dobrze płatni, lepiej w każdym razie niż robotnicy, tkacze i przędzalnicy, klasowo czuli się i tak wyżsi i do fachu swego byli przywiązani; ewentualna nieraz dymisja nie stanowiła dla nich zdeklasowania, gdyż mieli patenty rzemieślnicze. O awanse więc nie dbali.

Prócz tych możliwości kariery fabrycznej robotnicy mieli jeszcze inne awanse: oto robotnik zaawansowany na majstra tkackiego mógł z czasem zostać nadmajstrem, szczególnie jeżeli cieszył się zaufaniem dyrekcji fabrycznej i jeżeli pracował w tej firmie wiele lat. Czasem jakiś kierownik sali w bielniku lub farbiarni, stykający się bezpośrednio z dyrektorem oddziału — inżynierem chemikiem i otrzymujący od niego zlecenia wykonawcze do farbowania lub bielenia tkanin, nabył pewnej wprawy przy zaprawianiu farb lub przy dobieraniu innych składników chemicznych do prania materii i z czasem zastępował owego chemika, awansując przez to na dyrektora oddziału. Oczywiście przemysłowcowi taki pracownik kalkulował się taniej, bo pobierał niższą płacę i w swojej karierze był związany do śmierci z tą fabryką, która go w ten sposób wyróżniła. Zdarzało się jednak, iż taki samouk-chemik, jeżeli posiadał wrodzoną inteligencję, coś niecoś z tej dziedziny przeczytał, a mając dużą rutynę mógł w tym dziale skombinować coś własnego, co się okazało praktyczne — dyktował warunki fabrykantowi i był nawet poszukiwany przez inne konkurencyjne przedsiębiorstwa, bo posiadał pewnego rodzaju tajemnicę przemysłową, z którą się oczywiście z nikim nie dzielił i strzegł jej „jak oka w głowie“.

Dla robotników piśmiennych, rekrutujących się już z młodszego pokolenia, które zdążyło ukończyć szkołę fabryczną, możliwy był awans innego rodzaju, a mianowicie — przechodzili na stanowiska oficjalistów fabrycznych, zwanych na terenie tego życia — „pisarzami“. Ta kategoria pracowników fabrycznych stanowiła coś w rodzaju swoistej inteligencji fabrycznej o wielkim mniemaniu o sobie, o wykształceniu jednak więcej niż skromnym. Uposażenie tej grupy było różne od 8 rb. do 25 tygodniowo, w zależności od zajmowanego stanowiska, a głównie od ilości lat pracy i wyrobionych w ciągu tego czasu korzystnych stosunków osobistych z dyrekcją.

W tej dziedzinie awansu robotniczego po wojnie zapanowały zgoła odmienne stosunki: wielka ilość inteligencji zawodowej powoduje napływ sił nawet na niższe stanowiska kierownicze. Majstrami w oddziałach mechanicznych są dzisiaj inżynierowie a oficjalistami mianowane są niejednokrotnie osoby z wyższym wykształceniem, pobierając oczywiście pensję niewiększą, niż przedwojenny tego rodzaju pracownik, awansowany z robotnika.

Z FABRYK PO SŁOŃCE LATA

Leon Garbowiak

W nr 8 „Wymiarów“ pisałem o projektach umasowienia wczasów robotniczych w Łodzi. Powołane do życia z początkiem bieżącego roku Biuro Wczasów Robotniczych w porozumieniu z Komitetem Organizacyjnym Wczasów Robotniczych, skupiającym reprezentację społeczeństwa łódzkiego, przystąpiło do realizacji ważkiego zadania społecznego, jakim jest danie robotnikowi należytego wypoczynku w czasie letniego urlopu. Finansowa strona akcji miała wyglądać w ten sposób, że zakłady pracy podjęły się potrącania robotnikom chcącym wyjechać na urlop minimalnej sumy tygodniowo, resztę zaś kredytowały — tworząc w ten sposób „kapitał wycieczkowy“ uczestnika.

Przyjrzyjmy się teraz, jakie wyniki dała działalność propagandowo-werbunkowa i jak się ostatecznie układają urlopy letnie robotników łódzkich.

Akcję zapisów podjęto jeszcze w styczniu b. r. Rozesłano do 434 zakładów pracy, zatrudniających ok. 87.000 robotników, 24.860 deklaracyj dla uczestników wyjazdów, 6 okólników B. W. R. oraz 8 rodzajów różnych druków o charakterze propagandowo-informacyjnym. W kilku wypadkach na zaproszenie poszczególnych fabryk lub związków zawodowych wygłoszono krótkie pogadanki dla pracowników danego zakładu czy związku.

Mimo rozwinięcia szerokiej i sprężystej akcji rzecz cała natrafiła na pewne trudności i to wielorakie.

Największą bodaj przeszkodą, obserwowaną zresztą nie tylko na terenie Łodzi, jest smutny fakt, że wskutek trudności materialnych, wynikających z niskich zarobków, a co za tym idzie z niskiej stopy życiowej, ogół robotników nie korzystał dotychczas z wyjazdów urlopowych, więc do wyjazdów tych nie jest wprost przyzwyczajony. Toteż zarówno sama kwestia wyjazdu na urlop, w połączeniu z koniecznością decydowania o tym na pół roku przed urlopem, jak i zasada zbierania pieniędzy na wyjazd drogą całorocznych, tygodniowych składek, były dla większości robotników zbyt wielką nowością. Każda zaś nowość, której potrzeba nie jest jeszcze należycie zrozumiana, budzi wśród robotników nieufność.

Nieufność do akcji Biura zwiększała się jeszcze przez to, że bardzo wiele osób, doszukiwało się w pracy Biura czyjegoś zamaskowanego interesu. Jedni dopatrywali się interesu przemysłu, inni interesu rządu, a jeszcze inni jakiejś działalności, przekraczającej płaszczyznę fachową i akcję wczasów. Jednakże, po jakimś czasie i po zorientowaniu się, że wszystkie wysuwane pod adresem Biura podejrzenia są zupełnie bezpodstawne, nieufność ta znikła niemal całkowicie, a zniknie zupełnie po zakończeniu tegorocznej akcji.

Ale zostają kłopoty pieniężne robotników. Z jednej strony znaczna część robotników pracuje po 2—3 dni w tygodniu, więc nawet 50-ciogroszowe składki są dla nich dużym obciążeniem a z drugiej, jeżeli nawet robotnika stać na opłacenie kosztów wczasów, to najczęściej nie stać go na kupno walizki, na uzupełnienie częstych braków w bieliźnie pościelo-



Wypoczynek w górach



Na jeziorze

wej i osobistej, na kupno koca i t p. A niemal żadna z organizacji, prowadzących wczasy, pościeli własnej nie posiada i robotnicy muszą ją przywozić. Poza tym, często robotnika stać na wyjazd samotny, ale nie stać go na wyjazd z rodziną, a bez rodziny jechać nie chce.

Akcja zapisów trwała przez styczeń i luty. Wszystkie związki zawodowe jak również organizacje przemysłu włókienniczego i metalowego ustosunkowały się do sprawy wczasów robotniczych bardzo przychylnie. Trochę gorzej natomiast przedstawia się stosunek do akcji ze strony poszczególnych fabryk. Niektóre z nich poparły ją bardzo gorąco, wydając nawet własne ulotki czy ogłoszenia, większość ustosunkowała się lojalnie do uchwał swych związków, ale część jednak, albo wręcz odmówiła udziału w akcji, albo też utrudniała ją, przystępując do niej czasami dopiero pod naciskiem robotników. Oczywiście, nie wszystkie te wypadki należy przypisać złej woli. Niektóre z tych fabryk powoływały się albo swoim złym stanem finansowym, albo też tym, że pracują sezonowo i stałych robotników nie mają.

Mimo te trudności akcja zapisów dała wyniki dobre. Wedle obliczenia z dn. 15 marca b. r. zapisało się dotychczas 5732 robotników, zgłaszając przytem 605 dorosłych członków rodziny oraz 1322 dzieci.

Wśród zgłoszonych jest mężczyzn 1391 i kobiet 4159. Jeżeli zaś chodzi o okolice, w które uczestnicy chcą jechać, to uderza chęć wyjazdów dalekich. Dowodem tego jest fakt, że 3310 osób chce jechać w góry, 2007 zaś nad morze. Wyjazdy miały nastąpić już w dn. 1 maja.

Jeszcze w styczniu Biuro nawiązało kontakt z szeregiem organizacji, prowadzących ośrodki wczasów, jak Robotnicze Towarzystwo Turystyczne, Pracownicze Towarzystwo Oświatowo-Kulturalne im. St. Żeromskiego, Stowarzyszenie „Urlopy Robotnicze", Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury im. Stefana Żeromskiego, Wojewódzki Związek Kół Gospodyń Wiejskich w Łodzi, Polska YMCA, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet i Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej Kobiet. W wyniku zasięgniętych informacji i nawiązanych stosunków postanowiono skierować robotników do takich ośrodków wypoczynku jak: Biały Dunajec, Bystrymowce na Wileńszczyźnie, Bystrzyca nad Olzą, Chojne w Sieradzkim, Horodnica nad Dniestrem, Józefów k. Tomaszowa Maz., Jastarnia i Legionowo Morskie, Klonowica k. Augustowa, Leśna k. Żywca, Naocz, Uholec nad Horyniem (Polesie), Zakopane i t. d.

Jak widzimy, wszystko to są miejscowości znane ze swoich walorów turystycznych, dających najlepszy wypoczynek, siłę i zdrowie. Tu spędzą lato robotnicy łódzcy. A choć szereg trudności spowodował, że akcja wczasów letnich w roku bieżącym objęła tylko część tych wszystkich, którym urlop jest potrzebny, to jednak zrobiono duży początek. Ta wielotysięczna grupa robotników, która obecnie wyrusza z zadymionych murów miasta i zakurzonych hal fabrycznych po słońce lata, stanowi już szturmową kolumnę przyszłych rzesz, z radosnym odetchnieniem rozprostujących ramiona po całym pięknym naszym kraju.

ZNAKI NIEPOKOJĄCE

Tadeusz Sarnecki

Zawiedzione nadzieje

Jeszcze przed kilku tygodniami mówiło się, że sytuacja międzynarodowa bardzo szybko ulegnie całkowitemu wyjaśnieniu, mówiło się też o rychłym wybuchu wojny. Te nadzieje, jeśli w ogóle takie przewidywania nadziejami nazwać można, nie spełniły się dotychczas i nie spełnią się w czasie najbliższym. Europa a z nią cały świat wszedł wyraźnie w okres nieznanej dawniej, przynajmniej w takim jak dzisiaj rozmiarze i o tak wielkim zasięgu, walki na wytrzymałość nerwów. W tej sytuacji drobne sprawy urastają łatwo do rozmiarów katastrofy i w sposób zupełnie nieprzewidywany stać się mogą zwrotnym momentem w układzie sił. Propaganda i niewinne z pozoru wzmianki podawane przez prasę i radio wywołują w umysłach ludzi zmiany w nastroju, poglądach i pragnieniach. Z dala od oczu wodzów i poza świadomością sztabów dokonywa się mobilizacja umysłów i zwolenników. Liczą oni wprawdzie na takie lub inne efekty, ale materia jest tak subtelna, że wszystkie efekty ich działalności mogą złożyć się na zupełnie inny obraz rzeczywistości, niż to się w zamierzeniach przewiduje. Prowadzi się więc walkę z wrogiem wprawdzie wiadomym, ale nieznanym z układu sił i zapasu wytrzymałości nerwowej. W tej walce wiele się ryzykuje, ale można też mieć osiągnięcia tak niespodziewane, jak to miało miejsce w czasie konfliktu czesko-niemieckiego. Ponieważ sprawa jest poważna, znacznie nawet poważniejsza, jak w jawnej walce orężnej, trzeba ją omówić dość dokładnie, bo dotyczy społeczeństwa wprawdzie dzielnego, ale obłożonego kompleksami niechlubnej czasami przeszłości.

Na co się liczy w wojnie nerwów

Przy oddziaływaniu na nastroje mas w państwie przeciwnika liczy się przede wszystkim na jego historycznie znane reakcje. W tym celu ustala się zbiorową psychikę narodu z jego wadami. Wady tej zbiorowej psychiki są dla przeciwnika znacznie bardziej cenne, aniżeli jej zalety. Zalety są tylko przeszkodą w realizowaniu napaści, bo dają odpór, gdy wady są jak słabe punkty na normalnym froncie wojennym. Uderza się w te słabe punkty, aby przełamać front i wywołać panikę zwiększaną przez grupy dywersantów. Strategia nie jest więc tak bardzo skomplikowana, natomiast broń tej wojny jest nadzwyczaj subtelna i nie zawsze na czas dostrzegalna. Pozwala to nieznacznie przygotować uderzenie zasadnicze drobnymi zabiegami, urabianiem opinii, zjednywaniem zwolenników, z których nieświadomie nawet wyrasta zdrada sprawy narodowej. Przyjrzyjmy się więc na przykładzie konkretnym, jak ta metoda działa i jakie już zapewniła sukcesy Niemcom w zastosowaniu do narodów mało psychicznie odpornych. To nam dopiero pozwoli na wyciągnięcie również konkretnych wniosków służących obronie.

Terror psychiczny

Państwa dzielą się na mocarstwa i organizmy słabe. W Europie trzeba się poza osią liczyć z Francją, Anglią, Polską, Jugosławią i Rumunią. Niemcy uświadomiły to sobie dobrze, ale wiedziały również od dawna, że mocarstwa są bardzo zazdrosne o swój stan posiadania. Gdy więc na tyle zorganizowały swoje życie, że były już równorzędnym partnerem Francji i Anglii, zaczęły je drażnić żądaniami, atakując jednocześnie państwa słabsze. Cel był bardzo przejrzysty, liczyło się tutaj na egoizm zachodnich demokracji, które dla zacho-

wania swego stanu posiadania były gotowe poświęcić słabsze organizmy państwowe. Wytwarzało się więc wściekłą kampanię prasową wśród obywateli Francji i Anglii psychozę zagrożenia, a nawet jeśli chodzi o Anglię wywołało to lekki szok nerwowy graniczący z paniką (w okresie nacisku na Czechosłowację). To ułatwiło Niemcom zdobycze na wschodzie przypieczętowane monachijską hańbą.

System ten wypróbowany z powodzeniem na Czechosłowacji jest obecnie stosowany wobec Polski. Francja i Anglia znajduje się w bardzo silnej psychozie zagrożenia — na tym odcinku sukces Niemiec jest już zapewniony całkowicie. Ale na te demokracje Niemcy nie rzucą się na pewno. One mają inne widoki — Polskę i już rozpoczęły swój manewr sprawą Pomorza i Gdańska. Francja i Anglia mogą dać po nosie — są silne zwłaszcza razem. Polska nie oprze się według przewidywań niemieckich agresji hitlerowskiej. Kombinacja jest prosta — zachodnie demokracje posiadają ogromne imperia i wiedzą, że losy kolonij w czasie wojny światowej nie są pewne. Będą więc unikały starcia tak długo, jak to będzie możliwe kosztem państw słabszych. Polska jest państwem, jak sądzą sfery polityczne Niemiec, słabszym i nadaje się doskonale na teren agresji. Trzeba tylko, aby zostawiono ją samą, aby znużone atmosferą zagrożenia, mocarstwa zachodnie umyły jak Piłat ręce od wszystkiego.

Wtedy nastąpi szybki akt działania i według przewidywań niemieckich kapitulacja Polski. Nie musi to być zaraz, ani za dwa tygodnie, ani nawet za miesiące. Hitler ma czas, on poczeka. Tymczasem zawisł nad nami jak jastrząb i obserwuje te wszystkie zmiany psychiczne, które są dla jego celów pożądane, które w prostej drodze prowadzą do załamania psychicznego narodu, do jego rozkładu, już raz tak było z Czechosłowacją, a dawniej, dawniej z Polską, gdy żył inny sęp — Fryderyk i dwie dorodne kobiety — Katarzyna i Maria Teresa.

Problemy walki nerwowej

Wojna psychiczna jest bardziej perfidna od walki orężnej, dąży do rozbicia człowieka, do całkowitego załamania jego postawy moralnej i umysłowej. Człowiek jest pod względem psychicznym tworem bardzo złożonym i bardzo delikatnym. Nigdy nie wiadomo, co go złamie i co pozbawi go człowieczeństwa, tym bardziej, że wielu ludzi nawet o wysokim poziomie umysłowym znajduje się na dziwnym pograniczu psychicznym, z jednej strony mają drogę do doskonałości, której dotrzymują łatwo kroku właśnie z powodu swych walorów umysłowych, a z drugiej strony przepaść, graniczącą z łotrostwem, gdzie człowiek jest tylko nic nie znaczącą nazwą — pustym dźwiękiem.

Tego rodzaju sytuacje dotyczą nie tylko jednostki pojedyńczej, dotyczą również psychicznych zjawisk zbiorowych. Człowiek pojedyńczy dłużej walczy o swoją przynależność do ludzkości, o swój honor i poziom moralny. W dużym skupisku, w istniejącej już specjalnej atmosferze upadek człowieka następuje znacznie szybciej.

Tym się tłumaczy solidarność bandy i łatwość werbunku nowych do niej członków. Gdy w dodatku uświadomimy sobie, że w naszej naturze leży poczucie wspólnoty społecznej, nie trudno będzie zrozumieć, że bardzo wielu ludzi w pojedynkę dość łagodnych i porządnych, jako masa w pewnej atmosferze moralnej zdolna będzie do wszystkiego. Psychika bowiem pojedyńczego człowieka niemal mechanicznie, nagina się do psychozy zbiorowej. Aby tym zjawiskom przeciwdziałać, trzeba świadomie i z wielką umiejętnością organizować opór psychiczny na trucizny atmosfery zbiorowej. To jednak nie jest łatwe, zwłaszcza wskutek stosowania bezwzględnych metod przez przeciwnika, one bowiem i nas zmuszają do wyjścia poza ścisły krąg głębokiej moralności. Tam, gdzie z jednej strony zapanowała etyka Machiawelego, nie da się i po przeciwnej stronie zachować zupełnej czystości.

Mobilizacja sił psychicznych

Niemcy zwłaszcza w chwili obecnej lepsze mają od nas warunki do walki psychicznej. Są organizmem dość jednolitym, w którym indywidualizm prawie zupełnie został zniszczony. Jeśli zresztą istnieje, to nie ma prawie żadnego znaczenia jako czynnik aktywny w atmosferze psychozy wojennej, tym bardziej, że Hitler ma poza sobą niewątpliwe sukcesy. Zachowane jednak indywidualizmy nabiorą niesłychanego znaczenia w momencie załamania się psychozy nacjonal-socjalistycznej. W s k a z a n e jest więc ich zachowanie i podtrzymywanie, aby we właściwym momencie odegrały należycie swą rolę.

Wojna psychiczna dążąc do załamania się przeciwnika stosuje nie tylko nacisk, ale również szantaż, terror, plotkę, kłamstwo. Te metody na pewno nie są humanitarne, wywołują już tyle protestów, jeśli są stosowane w sądownictwie dla takiego celu — jak wydobycie prawdy, a pomijają przecież szantaż i terror, zostawiając jedynie sam nacisk przy stosowaniu pytań, aby opór zbrodniarza złamać. Ileż tam trzeba jednak chwytów i podstępów, aby gmach zeznania pozbawić sztucznych fundamentów, aby wywołać po załamaniu się psychicznym wyznanie prawdy i skruchę. Przeciwnik w wojnie psychicznej stara się zamienić atakowany naród na tłum tchórzów i podleców, wszystkie więc metody są dobre, jeśli prowadzą do tego celu. Nie jest to również rycerskie, ani kulturalne. Wojna też psychiczna obniża w zastraszający sposób ogólny poziom kulturalny i etyczny, zamienia tłum ludzi w bandę wyjących bydląt. To że wyją one przed mikrofonem, nie podnosi je do godności człowieka.

Cóż więc powiemy o osi Rzym—Berlin, skoro stosuje właśnie w wojnie metody psychiczne, skoro upodliła już Czechów i Albańczyków, skoro pragnie w chwili obecnej złamać opór psychiczny Polaków. To nie jest już wojna o Gdańsk i naszą suwerenność. **Na świecie rozgorzała wojna o kulturę i człowieczeństwo**, jesteśmy zaś jednym z pierwszych bastionów, który atak odparł zwycięsko.

Wewnętrzna sytuacja psychiczna Polski

Można śmiało mówić w Polsce o cudzie. Zaatakował nas oto sąsiad, z którym żyliśmy w zgodzie, a więc mówiąc konkretnie w czasie nieświadomości niebezpieczeństwa po długotrwałej propagandzie przyjaźni, w czasie trwania której rozpanoszyła się w Polsce za sprawą wszystkich grup nacjonalistycznych obca nam ideologia i jak się okazało imperialistyczna, a więc zagrażająca sąsiednim terytoriom.

Jeśli Niemcy nas zaatakowały właśnie teraz, realizując swój od dawna ze szczegółami przemyślany plan, to zdradziły się tym, że czas według ich mniemania dojrzał do czynu. Istotnie ideologia hitlerowska była już u nas nadzwyczaj popularna i można się było spodziewać, że pójdą za nią wszystkie grupy nacjonalistyczne i antysemickie, głosząc narodom i rasom sprawiedliwość w takt hymnu hitlerowskiego. Według subtelnych obliczeń niemieckich było w Polsce dość elementu psychicznego usposobionego przyjaźnie do ich działalności w Europie. Składał się on z rozentuzjazmowanych Niemców i tych Polaków, którzy ustosunkowali się pozytywnie do ideologii nacjonalistycznej. Tego rodzaju koń trojański powinien zmniejszyć opór psychiczny. Następnie było to po odzyskaniu Zaolzia i opinia polska mogła być przekonana o życzliwości Niemiec, przynajmniej o tym przekonani byli Niemcy mieszkający w Polsce i sam widziałem płaczących w uniesieniu, że Polska razem idzie z Rzeszą zdobywać świat.

Ten moment mógł uśpić czujność, więc w konsekwencji przyjacielska propozycja w przyjacielskiej atmosferze, powinno się udać, ale się nie udało, choć Niemcy płonęły w świetności sukcesów. Nie speszyło to nas jednak nic a nic. W konsekwencji naszego oporu nastąpiło przebudzenie Europy. Wszystkim otworzyły się oczy i ujrzano prawdziwe oblicze Trzeciej Rzeszy. Bo wierzono do niedawna, że można przyjąć cudzą ideologię nie tracąc niepodległości, że można popierać cudzą politykę nie narażając się na zależność. Wewnętrze tarcia polityczne, istniejące wszędzie, w pewnych ugrupowaniach politycznych wywołały przekonanie, że dla utrzymania status quo, można nawet obcej zażądać pomocy. Dla zdobycia rządów przez prawicę, pozwolono sobie w Hiszpanii na pomoc Włoch i Niemiec. W ten sposób nawet uczciwy nacjonalista hiszpański stał się winnym obcej okupacji. Trzeba być zresztą głupcem, aby wierzyć, że można utrzymywać rządy narodowe przy pomocy innego narodu. Czyż nie jest to sprzeczność lub po prostu zdrada.

Wnioski

Wskutek nieszczęśliwej polityki wewnętrznej utraciliśmy wolność. Razem z nią tę przestrzeń życia, która w czasach dzisiejszych zapewnia narodom znośne życie. Myślę o wybrzeżu nad Bałtykiem. Mamy wprawdzie znów jego skrawek, ale nie jest on ani wystarczający, ani bezpieczny. Jego bezpieczeństwo zależne jest od szerokości granicy morskiej

Rozumie to sąsiad, bo dzieje można przewidzieć. Rozwój Polski, jej gospodarczy i kulturalny wzrost zagraża Prusom Wschodnim. Stać się to może jasnym za lat powiedzmy trzysta. I już teraz zaczęła się rozgrywka. Okazja znakomita. Polska może stać się mocarstwem, ma sanse zapewnienia sobie odpowiednich warunków. Sytuację wywołały na dodatek same Niemcy. Nie zanosi się na walkę krótką. Nad Bałtykiem niemiecki stan posiadania utwierdzany był przez wiele wieków i sowicie się opłaciła niby przypadkowa akcja Hanzy i kolonizacja niemiecka. Z nad północno-wschodniej części Bałtyku musi zginąć flaga niemiecka, albo zginie Litwa, Łotwa, Estonia i Polska znów będzie kopciuszkiem. To jest wymowa nadchodzącej historii i nic nie zmieni jej biegu, chyba, że dobrowolnie zgodzimy się na rolę niewolników niemieckiej przestrzeni życia.

Niemcy chcą sprawę zlikwidować prędzej, niż to przewidział normalny bieg zdarzeń, bo nic innego nie znaczyły żądania w sprawie Pomorza i Gdańska. Nie udało się natychmiast, więc walka zmieni się na długotrwałą wojnę psychiczną. Niemcy liczą w tym względzie na łatwe sukcesy i opierają swe przypuszczenia na zjawiskach politycznych poprzedzających rozbiory, licząc przede wszystkim na **naszą niezgodę**, na **egoizm** panującej grupy politycznej, na **niewytrzymałość nerwową** w czasie długotrwałego napięcia psychicznego, na **biedę chłopów i robotników, na niechęć do sprawiedliwych reform socjalnych,** i na znaną powszechnie zawiść w konkurencji życiowej.

Powtarzam to wszystko albo za dziennikami niemieckimi, albo na skutek rozmów z Niemcami. Również wśród Anglików panuje przekonanie, że wskutek niezałatwienia wielu problemów wewnętrznych długiej wojny nerwowej nie wygramy. Jeśli się bowiem Niemcy nie zagłodzą, jeśli narodowy socjalizm nie upadnie a Hitler w dalszym ciągu będzie mężem opatrznościowym Rzeszy, propaganda antyniemiecka zwróci się przeciw krajom demokratycznym. Czas będzie działał na ich korzyść. Jak więc na nadzieje niemieckie odpowiedzieć należy. W sercu każdego Polaka jest tylko jedna odpowiedź. Stał się oto cud, że uśpieni nie daliśmy się zaskoczyć, dziś gotowi i silni stoimy do boju, zorganizujmy jeszcze tak państwo, aby na długie wieki zapewniona została jednostkom i warstwom społecznym możliwość takiego rozwoju, który wydobędzie z nas wszystkie siły i niewyzyskaną zdolność działania. Dużo już w tym kierunku uczyniono, ale nie wszystko, zwłaszcza w chwili tak groźnego niebezpieczeństwa. Kochający Polskę czekamy z nadzieją w duszy. Na potwarz o naszych stosunkach wewnętrznych odpowiedzmy konkretnymi pracami. Na pewno wtedy z ziemi polskiej wstanie wielkość i światło wniesie w mroki Europy. Tak przemówić może tylko prawdziwy patriotyzm, z tego też powodu płyną moje uwagi; nie mają one na celu wywołania niewiary, a są tylko wyrazem troski o losy narodu i państwa.

RUCH MUZYCZNY

W ostatnim okresie sprawozdawczym odbyły się trzy koncerty symfoniczne urządzone staraniem Zw. Zaw. Muz. Chrześcijan. Pierwszy z nich w dniu 19. III. b. r. poświęcony był muzyce polskiej. Na program złożyły się utwory Żeleńskiego, Noskowskiego, Zaremby, Moniuszki, Bylia, Chopina, Elsnera oraz Kiesewettera. Orkiestrą dyrygował Tomasz Kiesewetter, jako solista wystąpił Bronisław Nagujewski (wiolonczela). Orkiestrze symfonicznej Zw. Zaw. Muz. Chrz., o której już niejednokrotnie pisałem, należą się za wysoki poziom wykonawczy wyrazy prawdziwego uznania. Kapelmistrz Kiesewetter zaprezentował tym razem swą kompozycję w formie efektownego marsza groteskowego o pomysłowej instrumentacji. Solista koncertu Bronisław Nagujewski odegrał muzykalnie i miłym tonem kilka utworów kompozytorów polskich.

Drugi koncert symfoniczny w dniu 10. IV. b. r. zawierał w programie muzykę operową. Wykonane zostały utwory Wagnera, Mussorgskiego i Rimskij-Korsakowa. Orkiestrą dyrygował Olgierd Straszyński, jako solista wystąpił Aleksander Michałowski (bas). Każdorazowy występ tego utalentowanego dyrygenta budzi w Łodzi sensację i ściąga jak na miejscowe stosunki sporo publiczności. Orkiestra pod jego batutą tętni życiem, nabiera pełni brzmienia i elastyczności. Program wagnerowski wykonany był bez zarzutu, największe jednak wrażenie zrobiła orkiestra wykonaniem fragmentów z op. „Car Saltan" Rimski-Korsakowa. Solista koncertu, Aleksander Michałowski (czołowy bas stolicy) znany z występów w operze i Polskim Radio, dysponuje pięknym i kulturalnym głosem. Wykonał on szereg aryj Wagnera i Mussorgskiego, a najbardziej udałym numerem programu była aria z op. „Borys Godunow" M. Mussorgskiego.

Redakcja „Wymiarów" rozszerzając zakres dotychczasowej swojej działalności, przystąpiła do zorganizowania cyklu poranków popularnych pod hasłem „Z polską sztuką w polskie masy". Poranki te są przeznaczone dla dzieci, młodzieży i dorosłych i mają na celu upowszechnienie polskiej kultury artystycznej w „mieście pracy". Pierwszy taki koncert p. t. „Podhale w pieśni, muzyce i tańcu", został urządzony dnia 10. IV w sali Y. M. C. A. z udziałem Barbary Kostrzewskiej (artystki śpiewaczki z Warszawy), orkiestry robotniczej Zw. Zaw. Muz. Chrz., oraz zespołu góralskiego M. Piksy. Impreza ta o programie bogatym i urozmaiconym ściągnęła dużo publiczności, rekrutującej się przede wszystkim z warstw robotniczych.

Trzeci koncert symfoniczny Zw. Zaw. Muz. Chrz. urządzony w dniu 12 V. b. r. z okazji czwartej rocznicy zgonu Marszałka Józefa Piłsudskiego zawierał bogaty program poświęcony muzyce poważnej. Wykonano Concerto grosso Haendla, III Litanię Ostrobramską (Emoll) St. Moniuszki, Concerto grosso (Gmoll) Vivaldiego, Alleluja Kiezewettera, koncert skrzypcowy Edur Bacha, oraz III Symfonię (Eroicę) Beethovena. Poziom koncertu był wysoki, program opracowany dokładnie tak pod względem instrumentalnym jak i wokalnym. Chór mieszany im. Moniuszki (w Litanii Ostrobramskiej), wykazał walory dobrego i zęśpiewanego zespołu i tworzył wraz z orkiestrą harmonijną całość. Concerto grosso Haendla jak i Vivaldiego wypadły udatnie, który to rodzaj kompozycji został mile powitany, ponieważ jest inowacją na estradzie łódzkiej. Również „Alleluja" Kiesewettera było udaną pozycją programu i dowiodło, że muzyk ten pracuje wszechstronnie. Koncert skrzypcowy Edur Bacha wykonał z towarzyszeniem orkiestry Stanisław Jarzębski, młody i utalentowany skrzypek z Warszawy, posiadający doskonałą szkołę. Grę jego cechuje czystość brzmienia, bardzo dobra technika obu rąk, jędrny i piękny ton, oraz zrozumienie stylu Bachowskiego. Szkoda tylko, że jeden z najpiękniejszych koncertów sezonu nie zdołał zainteresować publiczności łódzkiej, która poza małą tylko garstką melomanów, czuje dziwne uprzedzenie do muzyki, a żałować powinna jeszcze więcej dlatego, że nieprędko będzie miała okazję do usłyszenia tak pięknie wykonanej „Eroici" Bethovena.

Zygmunt Sobolewski

Errata

W poprzednim nr. „Wymiarów" do artykułu M. Jastruna „Pod znakiem Kalliopy" zakradło się kilka błędów zecerskich.

Szpalta 1 — wiersz 57 zamiast — właśnie — powinno być: *właściwie*

Szpalta 1 — wiersz 76 zamiast — narracyjnej — powinno być: *narracyjne*

Szpalta 3 — wiersz 5 od dołu zamiast — wziął — powinno być: *wiązał*

Z OSTATNIEJ CHWILI

Dnia 14 b. m. zmarła w szpitalu im. gen. Składkowskiego żona redaktora Timofiejewa. Wydarzenie to jest tym tragiczniejsze, że również red. Timofiejew leży ciężko chory w szpitalu im. prez. Mościckiego. Do sytuacji tej w dużej mierze przyczyniły się nieustanne a niesłuszne ataki prasowe na osobę młodego poety.

Kulturalna opinia społeczna Łodzi wyraża mu wyrazy największego współczucia. Zmarła żona zostawiła po sobie nowonarodzone dziecko. Redakcja „Wymiarów" umieszczając tę wzmiankę, nie może nie wyrazić swego oburzenia na stosunki w Łodzi, które pozwalają w atmosferze zawiści na rozwijanie się cichych tragedii.

OTWARCIE BIBLIOTEKI IM. A. STRUGA

7 maja b. r. w obecności prezydenta Łodzi, J. Kwapińskiego i wielu in. gości, odbyła się doniosła uroczystość otwarcia Biblioteki im. Andrzeja Struga.

Biblioteka ta, zorganizowana wysiłkiem Związków Zawodowych, umieszczona jest w dwóch pokojach Domu Związków Zawodowych i zawiera przeszło 2.000 tomów.

Powitał zebranych i zagaił uroczystość St. Krzynowek, udzielając głosu twórcy i inicjatorowi Biblioteki E. Ajnenkielowi. W pięknym referacie zobrazowana została wartość nauki, książki w życiu klasy robotniczej oraz omówiona była praca organizacyjna powołanej do życia instytucji.

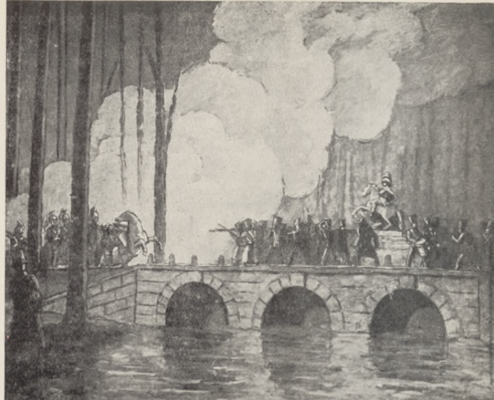
W imieniu Okręgowej Komisji Związków Zawodowych przemawiał A. Szczerkowski, z ramienia zaś Stronnictwa Demokratycznego prof. Dr. Wincenty Tomaszewicz.

Wyjątki z pism Andrzeja Struga odczytał członek Sceny Robotniczej T. U. R., Z. Nowicki.

Owacyjnie witany prezydent J. Kwapiński przed aktem przecięcia wstęgi, wygłosił przemówienie wyrażające radość z powstania tej nowej placówki kulturalnej, w mieście, którego ludność robotnicza w trudnych warunkach dla Państwa umiała zająć stanowisko, stwierdzające, że polska klasa robotnicza cudzych ziem nie pragnie, lecz swej nikomu nie da. Następnie Prezydent Kwapiński, sięgając do swych wspomnień z długich lat więziennych, podkreślił wartość polskiej książki, która podtrzymywała na duchu więźniów, kształciła ich, skracała mękę katorgi.

Zwiedzaniem Biblioteki i wpisaniem się do Księgi Pamiątkowej zakończono uroczystość.

L. G.



Leonard Pękalski — Podchorążowie na moście Sobieskiego

OBYCZAJ LITERACKI CZASÓW DZISIEJSZYCH

Wiesław Brudziński

Jest taka anegdota czy humoreska o reporterze pożarniczym, któremu w zastępstwie referenta kroniki towarzyskiej polecił redaktor napisać sprawozdanie z jakiegoś balu. Dało to w rezultacie efekt nieoczekiwany — kronikę towarzyską w stylu opisu pożaru.

Podobne wrażenie wywołuje książka Karola Zbyszewskiego, która narobiła już sporo szumu, wywołała parę napaści i obron i w rezultacie ukazała się już w drugim wydaniu. Zbyszewski, historyk z wykształcenia, a dziennikarz z zawodu i zamiłowań — „wyróżnił" się raz dopiero — pisząc na łamach „Prosto z mostu" m. in. — „Studenci Polacy miewają z Żydami co najwyżej krótki gwałtowny kontakt boksersko-piłkarski..." Jest to o tyle charakterystyczne, że jednocześnie Stanisław Piasecki piętnował ohydną w samej rzeczy — napaść na Wojciecha Wasiutyńskiego. Tu napaść i tu napaść — tylko, że Wasiutyński to był „swój człowiek..."

Nic też dziwnego, że tego rodzaju satyryk, o tak subtelnym poczuciu humoru dorwawszy się do ksiąg i archiwów— poczuł się jak szaleniec, któremu do ręki dano miecz. Skrępowany w dogryzaniu możnym czasów dzisiejszych przez cenzurę, hamowany konfiskatami, wyładował pasję dopiero w „odpowiedniej" obróbce historii. Na nikim nie zostawia prawie suchej nitki, najzapamiętalej godząc w Stanisława Augusta. Nie zostawia mu ani jednej dobrej strony, pomniejsza wszelkie osiągnięcia — nawet w dziedzinie kulturalnej. Jednym z zarzutów, jaki mu czyni, jest to, że nie zdołał zgłębić zasad whista — „acz gra ta była mniej skomplikowana od dzisiejszego durnia"; pod adresem króla używa takich określeń jak: klucha, stara prukwa, Kluchosław (miast — Stanisław); król nigdy np. nie mówi, tylko — skrzeczy, kwiczy lub skamle.

W ogóle zwulgaryzowanie stylu jest jedną z właściwości tej książki. Dodajmy że jest ono niepotrzebne, nie podyktowane koniecznością artystyczną, lecz chęcią wywołania efektu, przyciągnięcia i skokietowania czytelnika. Jeden to z symptomów literatury czasów dzisiejszych — zniżanie się do jakiegoś „szarego człowieka", przystosowanie się do wymagań odbiorców — miast, podnoszenia ich do wyższego poziomu, kokietowanie czytelnika — chociażby kłamstwem. Nasz klient — nasz pan!

Toteż u Zbyszewskiego nie śpiewa się — tylko ryczy, nie błąka — lecz szwenda lub pęta, nie jedzie — lecz drałuje, nie mówi — lecz kwiczy, skrzeczy lub gdacze, nie płaci pieniędzy — lecz buli forsę. Brać — to zawsze bapać, ksiądz— klecha, żydzi — żydlaki lub parchy, spodnie — gacie, dyskusje — pyskówki; królowa Elżbieta w sztuce Niemcewicza załamywała gnaty, nie ręce, o kobietach pisze zawsze Zbyszewski — zależnie od wieku — per: kozy, kluchy, lafiryndy, dziwki, tłumoki, babsztyle, klempy, prukwy, kwoki. Sporo też tu reminiscencji z Wiecha (który nadaje ton temu stylowi i słownikowi), i to wkładanych w usta ludzi XVIII wieku: posunąć sobie wianek kiełbasy, byle łatek, wycisk, szarpany. Niewybredne jest i słownictwo erotyczne. A la longue rzecz jest tak nużąca w czytaniu — jak zbiór felietonów Wiecha.

Te wulgarności stylowe są charakterystyczne, jak i charakterystyczny jest paszkwilowy stosunek do opisywanej epoki — łatwość w szafowaniu obelgami i ferowaniu wyroków. Nie ma zresztą czemu się dziwić — Zbyszewski jest dzieckiem epoki, otoczenia — pomiatanie godnością ludzką i godnością pisarza — tak właściwe pewnym kołom, atmosfera porachunków literackich, węszenie, szpiclowanie, denuncjatorstwo, szczucie, jątrzenie — słowem cechy współczesnego obyczaju literackiego — dały w rezultacie książkę, w której żurnalista rozprawia się z całą epoką w sposób równie bezceremonialny, jak lekkomyślny, książkę, stanowiącą aspekt pewnego wycinka rzeczywistości literackiej i nieliterackiej.

Przykry jest ten brak dystansu, spoufalenie się pętaka literackiego z rzeczami, które, bądź co bądź, stanowią historię. Razi mentalność lokajska: przedstawianie np. Karpińskiego przy moczeniu nóg w miednicy z wodą „by mniej śmierdziały". (str. 53). Lokaj także lubi podglądać „Państwo" przy czynnościach raczej — osobistych.

Pisałem już o zacieraniu się granic między dziennikarstwem a literaturą. Książka Zbyszewskiego jest bodaj najjaskrawszym choć nie najklasyczniejszym tego procesu przykładem. To nie jest vie romancée, jak ją reklamują — to parodia historii, felieton Wiecha, „Ubu król" — tyle że z pewnym podkładem naukowym. Z niektórymi objawami nurtu współczesnych przemian literackich ma wiele cech wspólnych — choćby płyciznę i celowe obniżenie poziomu dla przystosowania się do t. zw. gustów czytelnika, więcej jednak z nieprzewietrzaną atmosferą niektórych komórek życia literackiego i publicznego, typową dla pewnych odłamów ideologiczno-politycznych, stosujących etyczne konsekwencje psychiki totalnej.

Tylko chaosowi, pomieszaniu pojęć i zdewaluowaniu hierarchii czasów dzisiejszych zawdzięczać można, że rzecz tą niepotrzebna, nic nowego nie wnosząca — dająca tylko specyficzne naświetlenie tragicznej epoki przez nieodpowiedniego humorystę, nie ukazała się w jakimś wydawnictwie zeszytowym czy felietonie „Prosto z mostu" — lecz imitując powieść biograficzną straszy z półek księgarskich.

* Niemcewicz od przodu i tyłu — Warszawa 1939. Tow. Wyd Rój.

Że wstydu musiałbym kłamać, gdybym tę kronikę pisał — przypuśćmy — dla jakiegoś zagranicznego periodyku, którego redaktor zainteresowawszy się naszym życiem literackim, pragnąłby za moim pośrednictwem zapoznać swych czytelników ze sprawami dyskutowanymi ostatnio w Polsce, pasjonującymi nasz światek artystyczny, wypełniającymi łamy naszych czasopism. Napisałbym wtedy „poniekąd" anachronicznie, że d z i ś „są na ustach wszystkich" nazwiska St. I. Witkiewicza i K. Irzykowskiego, polemizujących uczenie, a zawzięcie o t. zw. czystą formę, że głośna jest kwestia „niezrozumialstwa", że „szerokim echem odbiła się" książka prof. Kridla, metodycznie wytyczająca drogi nauki o literaturze, że pisarze skaczą sobie do oczu w gorącym sporze o „treść" i „formę" itd.

Ale jesteśmy między sobą, możemy mówić zawstydzającą prawdę. Ilu literatów zwróciło uwagę na ostatni świetny artykuł Irzykowskiego o metaforze i metonimii, a ilu — wypominało Tuwimowi wierszyk „Do prostego człowieka"? Kto potrafi przypomnieć i streścić niedawną dyskusję o poezji czystej, a kto nie umiałby opowiedzieć o „polemice" Walldorfa z Putramentem na temat rzekomo melamedzkiej krzywizny Walldorfowego nosa? Którzy krytycy są personalistami (?), a którzy poeci pederastami? (!) Co prof. Chwistek sądzi o nadrealiźmie, a co sobie myśli p. Wielopolska o Iłłakowiczównie? Jaki związek zachodzi między ofiarą „na Żydów" a nagrodą młodych, a jaki — między „Ładem serca" a współczesną katolicką powieścią francuską?

Nie mówcie, że nie czas na metafory, metonimie, personalizmy, nadrealizmy, gdy płoną lasy, — bo to nieprawda. Prawdziwy literat zawsze będzie — jak pisał Irzykowski — wielkim człowiekiem do małych interesów lub — a wtedy nazywa się geniuszem, sercem serc itp. — wielkim człowiekiem do wielkich interesów. Wy jesteście mali ludzie do wielkich interesów. Dlatego spieracie się właściwie nie o rasizm czy antysemityzm, ale o nosy i bałki aryjki, nie o historię, ale o pończochy, nie o etykę seksualną, ale o to, kto z kim i którędy.

Nie ma dziś walk literackich, bo nie ma obozów literackich. Zanikają stare (literackie) linie podziału, prawie nie widać nowych, zato coraz grubiej rysuje się jedna linia — powiedzmy — polityczna: Żyd czy nie-Żyd, endek czy bolszewik. Dzisiejsze życie literackie przypomina nieco sąd ostateczny. Na prawicy — sprawiedliwi od Zygmunta Wasilewskiego po Pietrkiewicza, na lewicy — Żydzi, awangardziści, stypendyści, formaliści, homoseksualiści, „poziomowcy", socjaliści, nadrealiści, Pion Boy, Kridl, Zawodziński, Parandowski, Sieroszewski, ostatnio też Czachowski... Wystarczy.

Z czyjej winy powstała ta dziwaczna linia podziału z jej konsekwencjami, tj. małostkowymi aferami i kompromitującymi „dyskusjami"? Nikt chyba nie zaprzeczy, że forsowała ją i forsuje „prawica" z „Prosto z mostu" na czele. A że ten tygodnik (do niedawna) „literacko-artystyczny" żadnego programu literackiego i artystycznego nie miał i nie ma, nie może więc prowadzić sporów l i t e r a c k i c h. Dla Piaseckiego np. świetnym poetą jest Bąk, o którym inny prawicowiec — Łaszowski — napisał ni mniej ni więcej tylko takie zdanie: „Niech diabli wezmą Bąka i jemu podobnych nudziarzy!".

„Prawicy" literacko niemal nic nie łączy a wiele różni, więc (żeby nie dopuścić do dekompozycji?) nic pisze się o literaturze. A jeśli się już o niej pisze, to nie po literacku, toteż fałszuje się ją w brzydki sposób. Jeden przykład: p. Jan Bielatowicz napisał w „Prosto z mostu", że wielkimi pisarzami są... Morcinek i Fierla. Nie wielu jest godnych, którzyby mieli prawo ocenić niewątpliwe zasługi tych literatów, ale na miłość Boską nie nazywajmy ich w i e l k i m i pisarzami. Z literackiego punktu widzenia p. Fierla jest niemal grafomanem a p. Morcinek autorem co najwyżej drugorzędnym, co (musi się mówić takie truizmy!) wcale a wcale im jako Polakom (doskonałym), ludziom (nieskazitelnym), działaczom (zasłużonym), ujmy nie przynosi. Sądzę, że pean p. Bielatowicza musiał być właśnie dla nich niesłychanie przykry.

Tęsknicie do literatury n a r o d o w e j? Niechże to będzie tęsknota ambitna. Niech epitet: n a r o d o w y (polski), przysługuje tym tylko dziełom, które także wielkością literacką dowiodą, że są godne wielkiego narodu. Nie to jest wielkie i cenne, co jest „polskie", lecz niech to będzie polskie, co jest wielkie i cenne. Niech p o l s k o ś ć i n a r o d o w o ś ć będzie tą rzadką, najwyższą pochwałą, przyznawaną tylko wspaniałym książkom (i oczywiście — wyrastającym z polskiej tradycji kulturalnej, budującym nową polską kulturę, pisanym po polsku przez Polaków).

Świętą rację ma Maśliński, gdy pisze:

„Był kiedyś szantażyk radykalny, paczący młodociane grzbiety, teraz zaczną urabiać patriotycznie i narodowo. Po prostu każą wrzeszczeć na miarę wyobraźni przydzielonych „czynników". Jak zaradzić? Działalnością tak oczywistą i tak przerastającą wyobraźnię rzeczonych czynników, żeby nie trzeba było legitymować się jak Zagórski w „Apelu" z wierszy „zaolziańskich" i żeby podskakiwacze nie stanowili żałosnej — a tak niestety jest — konkurencji".

Jak wymazać sztuczną i szkodliwą linię podziału? Czy walczyć z tymi, którzy ją forsują? Na nic to, bo zaraz zaczną paplać ponuro, że Żyd, że endek, że „poziom", że Ozon, że komunista (bo walczy z prawicą), że „my", że „wy", że „oni"... Jedyny sposób: znaleźć stanowisko p o n a d tym podziałem.

Michał Chmielowiec.

WSPOMNIENIA W XXX-LECIE ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO P. T. K. — DOKOŃCZENIE *

Maria Nalepińska

Zawrzała wytężona, gorączkowa praca idąca równolegle kilku łożyskami a zmierzająca poprzez krajoznawstwo do jednego celu: obrony kultury polskiej i wyrobienia obywatelskiego. Chodziło zwłaszcza o polską kulturę towarzyską na zebraniach miesięcznych, t. zw. „herbatkach". Dążeniem zarządu było wytworzenie na nich nastroju domowego. Tak więc gospodarze każdego nowego gościa wprowadzali w krąg dawniejszych, usiłując dobrać mu odpowiednie towarzystwo: w ten sposób starano się nie dopuszczać do nieznośnego uczucia osamotnienia i zwalczano obcość ludzi względem siebie i nieufność, które to uczucia panowały wtedy, niestety, w naszym życiu publicznym...

Głównym celem zgromadzenia było wysłuchanie odczytu, po którym następowała wymiana zdań przy skromnej herbatce; potem, jeżeli nastrój dopisał, odbywały się gry towarzyskie, a jeżeli znalazł się ktoś chętny do zagrania na fortepianie, to i tańce. Grajków nigdy nie najmowano: tańce nie były celem zebrania, po wtóre zmieniałoby to jego charakter domowy, wreszcie przy powszechnej dzisiaj liczebnej przewadze pań wiele z nich nie brałoby udziału w zabawie, a gospodarze czuli się odpowiedzialni za rozrywkę wszystkich gości. Beztroskie, nieraz dziecinne gry towarzyskie pozwalały na zespolenie się wszystkich obecnych w jedno grono bez względu na wiek i stanowisko. Była wtedy sposobność popisania się dowcipem, wiedzą, ogładą towarzyską. Szczególnie miły rodzinny nastrój panował przy stylowej staropolskiej choince. W ten sposób dla tych, komu nie odpowiadał międzynarodowy znormalizowany „dancing" ani bridż w zadymionej sali, tworzył się niejako rezerwat kultury towarzyskiej polskiej, z dawien dawna opartej na czci dla kobiety i wieku. Przeciętna obecność na „herbatkach" wynosiła 42 osoby. W zapusty zarząd zamierzał urządzić bal krajoznawczy kostiumowy na większą skalę, uznał jednak, że pora na niego jeszcze nie nadeszła.

Możność zespalania towarzystwa wymagała ze strony zarządu znajomości członków, zdawania sobie sprawy z tego, co każdy z nich może T-wu dać z siebie, to też zgłoszenia członkowskie od kandydatów przyjmował prezes osobiście, zadzierzgając od razu z kandydatem węzły znajomości lub też uznając go za nienadającego się do T-wa.

Borykano się z trudnościami materialnymi (kosztowny lokal i 2000 zł długu). Zarząd nie chciał iść drogą najłatwiejszą, nie chciał wyjednywać w Zarządzie Głównym darowania długu. Był zdania, że to przeczy obowiązkowi organizacyjnemu, gospodarował więc w ten sposób, aby uiszczać się stopniowo z zobowiązań Oddziału. To jednak wymagało wielkich wysiłków przy słabym oddźwięku ogółu członków, mimo wzywania ich okólnikami do pomocy w pracy.

Pomimo to co rok urządzano przedsięwzięcia krajoznawcze na większą miarę. Pierwszym był konkurs na strój ludowy dzieci dn. 6. I. 33 r. (17 uczestników w strojach z 5 okolic), wiosną tegoż roku dwa występy zespołu górali z N. Targu w sali Rady Miejskiej, w rok potem trzy pokazy filmowe (2461 m) w kinie „Przedwiośnie" z objaśnianiem odpowiednich obrazów przez wybitnego członka miejscowego Oddziału P. T-wa Tatrzańskiego, p. Kazimierza Wagnera.

Obrazy wspinaczki wysokogórskiej stanowiły własność P. T-wa Tatrz., inne zaś były świeżo nakręcone przez Ministerstwo Komunikacji i Min. Reform Roln. dla celów propagandy krajobrazu polskiego za granicą.

Jesienią tegoż roku Oddział urządził wycieczkę stuosobową do Tumu, zimą — kurs tańców polskich; w marcu 1935 r. w sali Filharmonii koncert Ireny Cywińskiej, operowej partnerki Kiepury, i J. Dworakowskiego (skrzypce); program obejmował utwory kompozytorów wyłącz-

* Patrz „Wymiary" nr 11



Radomsko — Klasztor

nie polskich, które wykonano wtedy w Łodzi po raz pierwszy.

Oddział dążył do wywierania wpływu na szersze masy; często więc zabierał głos na łamach prasy, czy to w postaci obszernych sprawozdań ze swego życia, czy artykułów treści ideowej, czy wreszcie literacko ujętych sprawozdań z wycieczek. Nie zaniedbywano również styczności ze społeczeństwem za pomocą radia.

„Wiecznym zmartwieniem" zarządu było biuro. Przy coraz szerszym zasięgu pracy Oddziału rosła również praca biura wykonywana stale przez ochotników, nieraz nieczłonków. Praca biura swą ilością odpowiadała pracy stowarzyszeń mających płatnych urzędników i zatrudnionych co dzień po kilka godzin. Tymczasem w P. T. K. biuro było czynne jedynie w tradycyjne wtorki i piątki i to zaledwie po dwie godz. (teoretycznie), ambicją zarządu była przejrzystość jego sprawozdań i możność oparcia każdej liczby i każdego twierdzenia na dowodzie; stąd zwalało się tyle pracy, że zarząd był zmuszony zaprowadzić jak najdalej idącą oszczędność (racjonalizację) w spożytkowaniu czasu osób ofiarnych, aby nie doprowadzać ich do przepracowania i zniechęcenia. Zarządzenia te wywoływały wprawdzie niezadowolenie niektórych członków patrzących powierzchownie, niemniej jednak zmuszały do liczenia się z T-wem i podnosiły jego powagę.

Tymczasem członkowie coraz liczniej odwiedzali T-wo, pod pozorem załatwiania różnych spraw gromadząc się w biurze o wiele dłużej, niż same sprawy tego wymagały; takie przygodne zebrania utrudniały i przewlekały pracę. Z konieczności odciążenia biura wyłonił się pomysł urządzenia czegoś w rodzaju bawialni (w sali Oddziału). Dla zebrań tych przyjęła się nazwa świetlicy. Przeglądano tam pisma i albumy krajoznawcze, dzielono się wrażeniami z wycieczek i innych przedsięwzięć Oddziału. Ostatecznie skrystalizował się cel świetlicy: mieli wyrabiać się w niej nowi szermierze idei krajoznawczej i nowi prelegenci, aby Oddział mógł sprostać potrzebom innych instytucji, przeważnie fabryk, proszących o pogadanki krajoznawcze. Po roku liczba uczestników zebrań doszła do 30, mimo zastrzeżeń co do kierownictwa.

Oddział wystąpił w obronie baranka wielkanocnego, prawie wypartego z Łodzi przez niemieckiego zajączka; wciągnął do dzieła cech cukierników i poszczególne firmy, Kuria Biskupia wydatnie poparła te usiłowania, prasa również i w wyniku zwycięskie chorągiewki baranka licznie ubarwiły wystawy sklepowe. Ruch ten sięgnął nawet na prowincję, a przeprowadzany był w ciągu trzech lat kolejnych.

Wytyczną dla zarządu było: każdemu członkowi bez względu na wiek, siły, zainteresowania i stan materialny musi T-wo dać coś z siebie; stąd wielka różnorodność wycieczek od drogich kilkunastozłotowych za jeden dzień do krótkich i tanich miejscowych. Te ostatnie gromadziły po kilkadziesiąt osób; zwiedzano wystawy, urządzenia kanalizacyjne, stację telefonów, szkoły i t. p. i nieraz słyszało się od przewodników na miejscu, że spośród polskiego społeczeństwa my pierwsi zwiedzamy to lub owo.

Wreszcie 17. XI. 1935 r. odbył się obchód 25-lecia Oddziału (spóźniony). Stał się on publicznym stwierdzeniem uznania, jakie Oddział zdobył sobie u miejscowego społeczeństwa, w całym T-wie w osobie Zarządu Głównego, jego prezesa ministra Wł. Raczkiewicza, u poszczególnych oddziałów, biorących udział w jubileuszu przez swych przedstawicieli, wreszcie u swych członków nawet najbardziej opornych. Podczas tej uroczystości zarząd wyłuszczył dążenia Oddziału w następujący sposób.

„Poszczególne oddziały P. T. K. opierają się w swej działalności na paragrafach statutu, najbardziej odpowiadających warunkom miejscowym. Tak więc okręg kielecki pracuje głównie w zakresie nauk przyrodniczych i znakowania ścieżek turystycznych, oddział łowicki zajmuje się etnografią, Łęczyca — konserwacją zabytków, Lwów — zagadnieniami z dziedziny geografii, Poznań urządza wycieczki z wielkim rozmachem i t. d.

Do czego zmierza oddział łódzki?

Jesteśmy mieszkańcami miasta jedynego w swoim rodzaju: miasta wielkiego (niegdyś bogatego), ale młodego, bez świetnej tradycji takiego choćby Piotrkowa, Płocka czy Lublina, przytem miasta o ludności napływowej, w większości obcej, często nawet niechętnej polskości, a więc nie posiadającego nawet starych polskich rodów mieszczańskich. Ogromna większość ludności przybyła tu w celu zdobycia chleba, bo powabem swym Łódź przyciągnąć nie mogła. W tych warunkach powstał odrębny typ psychiczny człowieka, t. zw. lodzermensza, dla którego głównym wykładnikiem życia był pieniądz, daleki od typu rdzennego mieszkańca Wilna, Krakowa czy Lwowa, to jest środowisk, które wychowują w duchu polskim już samą swoją tradycją.

Dlatego Oddział nasz uważa za pierwsze swoje zadanie wywalczenie kulturze polskiej należnego jej stanowiska. W Łodzi jest ona szczególnie zagrożona, bo z jednej strony zalewa ją żywioł obcy, silniejszy tu niż gdzie indziej, z drugiej zaś — młoda inteligencja polska, młoda, bo w znacznej części inteligencja w pierwszym pokoleniu, nie przeciwstawia się tym wpływom; owszem, poddaje im się, bo nie wyniosła z domu ducha kultury polskiej i idzie za tym, co jej hałaśliwie narzucają nie tylko handlarze mody, ale i handlarze pojęć moralnych, przynoszący



Radomsko — Podwórzec klasztorny

często najgorsze spośród społeczeństw Zachodu.

Ludziom wychowanym w rodzinie i mieście bez tradycji nie łatwo przejąć się czcią dla świetnej tradycji dostojnej kultury polskiej. Jest to niewątpliwie stan przejściowy. Ci, co na razie zdobyli tylko wiedzę, dadzą nam z czasem, w drugim czy dalszym pokoleniu, ludzi o prawdziwej kulturze. Na to, aby ta kultura była polska, ma wpływać Oddział Łódzki PTK. Tłumaczenie wszystkich ujemnych objawów dzisiejszego życia duchem czasu uważamy za obronę ludzi słabych, biernych lub leniwych. Poddawanie się temu prądowi, niesprzeciwianie się złemu uważamy za grzech i wobec naszych przodków, którzy dla obcych bywali wzorem, i wobec przyszłych pokoleń, które w ten sposób moglibyśmy pozbawić należnego im oblicza duchowego. Mamy tu na myśli kulturę we wszelkich jej objawach.

Drugim naszym dążeniem jest poznawanie Polski zacząwszy od miasta, powiatu i województwa. Pragnęlibyśmy, aby w granicach naszego województwa nie było ani jednego miasta, którego by nie tknęła stopa łódzkiego krajoznawcy. Nie szukamy jedynie widoków ładnych, chcemy właśnie wiedzieć, co u nas jest brzydkiego, co należałoby zmienić, poprawić; słowem, chcemy patrzeć na wszystko okiem miłującym, które się cieszy widokiem powabnym, a smuci widząc przykre rysy na obliczu swej matki - ojczyzny.

Są to zadania obliczone na całe lata i lat dziesiątki.

Oprócz tych zadań wynikających z naszego statutu stoją przed nami zadania, których nasz statut nie obejmuje, które jednak, naszym zdaniem, winny dziś przyświecać każdej organizacji bez względu na jej poszczególny charakter. Są to zadania ogólno-obywatelskie, zawarte w naszej deklaracji programowej, którą Zjazd Delegatów naszych oddziałów w r. 1934 uznał za wyraz przekonań i dążeń całego T-wa. Oto ona:

„W okresie niewoli P. T-wo Krajozn. budziło uczucia patriotyczne i w ten sposób przyczyniło się do utrzymania narodu i zasłużenia na niepodległość. Dziś obowiązkiem każdego Polaka jest przyczyniać się nie tylko do zachowania Państwa, ale dążyć do podnoszenia jego powagi tak wewnątrz, jak i na zewnątrz. Jedne organizacje społeczne czynią to przysparzając Państwu sił materialnych czy to w postaci floty morskiej lub powietrznej, czy środków pomocy rannym; my zaś dążymy do wzmocnienia siły duchowej narodu, bo w przełomowych chwilach to Państwo zwycięża, którego naród jest duchem wyższy. Niezbędnym warunkiem tej siły jest „uczucie słusznej dumy z kulturalnego dorobku wieków, dumy tym większej, im większe jest poznanie tego dorobku". To właśnie uczucie dumy narodowej wyrabia w nas krajoznawstwo.

„Krajoznawstwo jest pozbawione wszelkich czynników drażniących mogących dzielić ludzi. Krajoznawstwo hartuje, broni przed gnuśnością, zwalcza apatię, wyrabia karność i uczucia społeczne, a przez dostarczanie skromnymi środkami coraz to innych a zawsze zdrowych wrażeń zagłusza złe myśli rodzące się w trudnych warunkach dzisiejszego życia, broni przed defetyzmem, a więc staje się ważnym czynnikiem państwowotwórczym.

„Jesteśmy bardzo liczni. Przy dobrej woli a szczerym przejęciu się powyższymi ideami nasza wielotysięczna rzesza byłaby w stanie zbiorowym wysiłkiem przetworzyć z czasem psychikę społeczną, t. j. dokonać tego, czego za gorszych czasów, saskich, dokonała jednostka uzbrojona w żelazną wytrwałość i niezłomną wolę zwycięstwa.

„W ten sposób pojmuje zadania Polsk. T-wa Krajozn. w dobie dzisiejszej Oddział Łódzki; dlatego w imię słusznej dumy narodowej, która ma stać się dla duszy naszego społeczeństwa źródłem innych cnót obywatelskich, wysuwamy zagadnienia kultury polskiej na plan pierwszy".

A zatem Oddział głosił hasła, które wtedy źle były widziane. Już w początku 1933 r. w związku z rozpoczętą w T-wie pracą nad zmianą statutu Oddział Łódzki opracował swój pogląd na zadania T-wa w zmienionych warunkach i odpowiednią deklarację („O nową ideologię P. T. K.") przesłał do Zarządu głównego i 40 większych oddziałów. Wynikiem było wprowadzenie do statutu pojęcia kultury polskiej.

Rok 1935 był ostatni, kiedy kierownictwo Oddziału sprawował zarząd wybrany na trzy lata. Skład jego był następujący. pp. adw. Józef Adamowicz — cz. zarz. od założenia Oddz., inż. Julian Brzozowski, Ludmiła Francew, inż. Stefan Krassowski, Franciszek Lenartowicz — czł. zarz. od załoź. Oddz., Maria Nalepińska, inż. Aleksander Nalepiński, Stanisław Rozbicki, Maria Rybakówna, inż. Alojzy Tuczyński, Barbara Witkowska, inż. Czesław Witkowski. W sprawozdaniu rocznym zarząd zaznaczył, że za najpilniejsze zadania na najbliższą przyszłość uważa unormowanie pracy w świetlicy, bibliotece i biurze, opracowanie przewodnika po Łodzi (do czego wstępne kroki już był poczynił) i utworzenie okręgu wojew. P. T. K.

W lutym 1936 r. po raz pierwszy zastosowano na walnym zebraniu nowy statut wprowadzający co rok wybory całego zarządu. Zarząd uległ prawie całkowitej zmianie. Kierunek w Oddziale zapanował inny.

DZIECI BEZROBOTNYCH JADĄ NA KOLONIE — REPORTAŻ Z ŻYCIA

Franciszek Burczyński

Z początkiem lata kilka tysięcy dzieci łódzkich wydobywa się ze środowiska bezrobocia, z dusznych izb i wilgotnych suteryn. Pociągi naładowane roześmianą radością rozwożą potomstwo robotnicze po koloniach. Tu dzieci mają możność oddychania świeżym czystym powietrzem, rozkoszowania się życiodajnym słońcem i radowania pięknem ziemi polskiej.

Oddział łódzki Tow. „Opieka" prowadzi trzy kolonie: dla dzieci w wieku szkolnym w Borownie pow. radomskiego oraz w wieku szkolnym i przedszkolnym w Sulmowie koło Liskowa.

Śladem młodych jadę do Borowna. Kolonia dla dzieci rodziców bezrobotnych z Łodzi mieści się w starym opuszczonym i napoły rozwalonym gnieździe szlacheckim, w majątku, jaki należał ongi do znanej rodziny Skarbków. Trzeba by mocno nadużyć fantazji, by powiedzieć — wjechaliśmy przez wspaniałą bramę. Nie, wjechaliśmy na teren dworu, mijając szczątek świetności, świadczący, że tu była kiedyś brama — wjazd zamkowy i nawet jakiś styl. Ale już dalej — o obrót kół — cudowny park, wyjęty zdawało by się z opowiadań szlacheckich. Zieleń z prawa i z lewa, po prostu ciśnie się sama do rąk, kołtuje liśćmi, otacza zewsząd niewymarłym żywiołem.

Bryczka niesie już nas po wyżwirowanych alejach, lekki pył wzbija się w słońcu i sypie pod końskie kopyta. Przelotnie i obojętnie — jak owe lata dawne, co się starły, skruszyły na miał, na proch zapomnienia, wzbijany niekiedy takim oto jak nasz przyjazdem. Ludzie byli, odeszli. Ale przyroda została taka sama — majestatyczna i jeszcze bardziej pełna sił. Przed dworem po środku rozległego trawnika stoi dąb, o jakim się zdarza czytać w powieściach Rodziewiczówny. Dąb nie dąb — żylasty pęk lat i stuleci, nabrzmiały w trudzie toczenia soków z ziemi.

Dwór mimo wszystko robi jeszcze wrażenie. Jest okazały, bielony jak trzeba na legendę, ze wspaniałym podjazdem, rozległym gankiem, a przede wszystkim ma malownicze położenie. Na wprost owego dębu, frontem do trawnika — wydaje się być błyszczącym diamentem w oprawie zieleni parku. Pokoje nie przedstawiają dziś nic ciekawego, choć wszystkie mają parkiet, natomiast sala towarzyska (takie chyba miała przeznaczenie) lub jeszcze lepiej „rodowa" odznacza się pięknymi łukami okien, szlachetnością sklepień i balkonu u góry, a przede wszystkim przykuwa uwagę zawieszonymi na ścianach portretami antenatów. Tak, była to przecież siedziba hrabiów Skarbków.

Była... Dziś jest to rozbite gniazdo, z którego dawne życie wyciekło do reszty; piękna wierzba przy dworze opłakuje, rzekłbyś, gospodarzy, którzy odeszli stąd, rozproszyli się po świecie... Epilog dawnej świetności był ten, że ostatni dziedzice stracili wszystko na wyścigowych koniach, majątek poszedł na licytację i od tej chwili ulega błyskawicznemu niszczeniu. Już rozebrano ogrodzenie, burzy się okoliczne zabudowania, chętni parcelacji czyhają na każdy szmat ziemi.

Lecz dziwnym zrządzeniem losu samo gniazdo szlacheckie — sam dwór — uratowały od zagłady dzieci proletariatu. Wypełniły to miejsce żyjącymi głosami, śmiechem i werwą pierwszej młodości, wreszcie troską i dbałością, urządzenie bowiem na tym szczątku dawnej wspaniałości kolonii dla dzieci bezrobotnych tchnęło życie w resztę majątku. Ożyły mury, wzięły w siebie gwar nowych przybyszów, otoczyły opieką małych gospodarzy. Już nie trzeba było burzyć ścian, ścinać drzew w parku — mają dla kogo istnieć stając się mimowolną arką przymierza między starymi a nowymi laty. Może powie ktoś,



Dzieci łódzkie na koloniach

że są to nieobowiązujące sentymenty na urlopie, lecz ja osobiście widzę w tym pewien symbol i chciałbym, by był on i nadal żywy.

Więc dzieci jest w Borownie sto kilkadziesiąt w każdym turnusie, trwającym zazwyczaj 4 tygodnie. Godzina 7 rano otwiera dzień pełen tężyzny, dziecięcej zachłannej radości i słońca. Modlitwa, podniesienie sztandaru, odśpiewanie hymnu państwowego. Potem już można, ustawiając się w żwawy dwuszereg, podążać ochoczo na śniadanie. W sali, przybranej portretami dawnych rycerzy, mieści się gwar, toczy życie robotniczych dzieci. Jedzą, jest to dla nich tak wiele. Mają wreszcie do syta kawy z mlekiem i chleba z masłem.

A przyjeżdżają głodne. Do tyła wycieńczone, przygnębione niedolą bezrobotnego środowiska, że najpierw trzeba przywrócić je życiu, odżywić. Czekać aż owo życie zacznie w tych małych ludzi wstępować, rozchodzić się po organizmie dosytem i wreszcie podnieceniem, aż dzieci zaczną objawiać jakieś zainteresowanie i zdradzać instynkty witalne. Na tę chwilę czeka ów rybak dusz, jakim jest wychowawca; stara się zbliżyć do dziecka; pokierować nim, wskazując na wartość współżycia z otoczeniem, przyrodą i kulturą. Dziecko od chwili swojego wewnętrznego przebudzenia zdąża kierowane umiejętną dłonią starszego człowieka ku gromadzie, zaprawia się tym samym do przyszłych zadań, uczy — zwłaszcza w samorządach — współodpowiedzialności i samodzielności. Może w Łodzi byłyby to metody uprzykrzone lub wobec nacisku bezrobotnego środowiska chimeryczne, ale tutaj pod wpływem pysznej natury osiągają one swój cel o wiele łatwiej. Borowne staje się więc także uzdrowiskiem, który leczy z depresji bezrobotnego podwórza. Że dzieje się to w starym gnieździe szlacheckim, ma to swoją osobliwą — podkreślaną już zresztą — wymowę.

OPIEKA NAD MATKĄ I DZIECKIEM W DZIAŁALNOŚCI „KROPLI MLEKA"

Stanisław Bukowski

Nie zawsze ocenia się sprawiedliwie działalność instytucji społecznych, działają one często bez rozgłosu zmagając się każdego dnia z widmem społecznej klęski. Do tych towarzystw należy bezsprzecznie tak zwane popularnie „Kropla Mleka", która roztacza opiekę nad niemowlęciem i jego matką. Czy da się tak na oko określić rozmiary tej pracy i jej wartość dla państwa, nie mówiąc już o wartości tej instytucji dla Łodzi.

W roku bieżącym przypada 35 lecie założenia towarzystwa. Szmat czasu i ogrom niewdzięcznej ciężkiej pracy wśród ludności biednej, narażonej stale na wszystkie złe strony swej sytuacji społecznej. Co to jest w Łodzi rodzina, rodzina robotnicza i jej dzieci, nie wszyscy wiedzą i nie wytłumaczy się tego nikomu, kto własnymi oczami nie zobaczył mieszkań robotniczych i ciasnych brudnych podwórek, najbliższego otoczenia niemowląt. W takich warunkach 35 lat pracy społecznej w dziedzinie opieki nad matką i dzieckiem to zmaganie się w obronie dziecka z ciemnotą, biedą, przesądami i chorobami. Jedyna to jednak droga do zdrowych fizycznie i moralnie pokoleń, zresztą droga bardzo konkretnej pracy, pozbawionej wybujałej frazeologii i pustactwa. W ostatnim tylko roku działalność Towarzystwa obejmowała następujące dziedziny pracy: szerzono wiedzę o opiece nad matką i dzieckiem; dopomagano matce w wychowaniu niemowlęcia, krzewiono zasadę karmienia piersią i dostarczano racjonalnego pożywienia.

Towarzystwo prowadziło Stacje Opieki, poradnie dla kobiet ciężarnych i lotną pomoc na mieście przy pomocy wykwalifikowanych pielęgniarek.

W ciągu roku przybyła nowa Stacja 11 — z siedzibą przy ulicy Kątnej 37 i zostały zaprojektowane jeszcze 3 stacje, na których uruchomienie przeznaczył Urząd Wojewódzki subwencję w kwocie zł 3000. — Lokale na 2 stacje są już wynajęte w północno-wschodniej i południowo-zachodniej dzielnicy miasta, a na stację zaś trzecią, a z kolei 14 — pomieszczenie jest poszukiwane. Również z inicjatywy i na koszt Urzędu Wojewódzkiego „Kropla Mleka" zorganizowała w styczniu 39 roku Stację Opieki nad Matką i Dzieckiem przy miejskim ośrodku zdrowia w Aleksandrowie.

Organizacja pracy na Stacji polega na tym, że zgłaszające się matki bada lekarz specjalista, udziela matkom wskazówek odnośnie do wychowania i żywienia niemowląt, pielęgniarkom poleca domową opiekę nad nimi, kwalifikuje do naświetlania lampą kwarcową i przepisuje odpowiedni pokarm.

Zaordynowany pokarm matki odbierały codziennie w wyznaczonych godzinach na Stacjach Opieki, względnie na punktach rozdawczych.

Pokarm stanowiły — mleko, 16 mieszanek różnego typu oraz mleko kobiece („pokarm naturalny"), a dla dzieci starszych rosoły i zupki.

Punkty rozdawcze były urządzone specjalnie dla wygody matek i miały na celu ułatwienie odbioru mleka bez straty czasu. Mieściły się w sklepach „Powszechnej Spółdzielni Spożywców" przeważnie na krańcach miasta. Dla usprawnienia rozwózki zakupiono nowy samochód marki „Chevrolet" zaopatrzony w karoserię i urządzenia dostosowane do przewozu mleka w butelkach.

Świadczenia Stacji Opieki opłacały matki z własnych funduszów, względnie korzystały z przekazów udzielanych przez Zakłady Przemysłowe, Wojewódzki Komitet Opieki nad Dzieckiem i Młodzieżą i Wydział Opieki Społecznej Zarządu m. Łodzi, oraz Fundusz Pracy (do 31 grudnia 1938 r.).

Oprócz świadczeń żywnościowych wydawała „Kropla Mleka" wyprawki, których skład jest następujący:

1. materacyk z trawy morskiej, 3 powleczenia na materacyk, 1 kołderka flanelowa, 1 prześcieradło kąpielowe, 6 pieluszek flanelowych, 6 pieluszek cienkich, 6 koszulek, 6 kaftaników flanelowych, 1 kawałek ceratki, 6 rogówek zamiast śliniaczków, 1 pudełko z talkiem, 1 kawałek mydła, 2 sukieneczki, 1 wanienka do kąpania niemowlęcia.

Ilość wyprawek wydanych w roku sprawozdawczym wynosiła 1541.

Świadczeń bezpłatnych otrzymało 1405 dzieci najbiedniejszych matek, zgłaszających się bezpośrednio na Stację Opieki, oraz 240 skierowanych przez Tow. „Caritas". Razem opieka bezpłatna wyraza się sumą 1645-o dzieci, nie licząc tu objętych opieką niemowląt matek aresztantek, odsiadujących karę w Więzieniu Śledczym przy ul. Kopernika. O-

prócz tego lampą kwarcową naświetlano bezpłatnie 557 dzieci i rozdano 3.205 kg pomarańcz, 2.408 kg winogron, 400 szt. cytryn, 430 kg jabłek, 453 kg cukru, 67 kg kaszy, 282 kg pierników, 18 kg mięsa gotowanego, 113 kg tranu, 102.500 mydła. 1087 szt. sukienek i śpioszek, 73 szt. pieluszek, 202 szt. kaftaników 83 szt. różnej bielizny, 18 mtr. materiału.

Mając na względzie stały rozwój Instytucji, niemałą troskę Zarządu obok zabiegów o nowe źródła dochodów, stanowiła nie tylko propaganda idei opieki nad matką i dzieckiem, ale i odpowiednia organizacja Kuchni Mlecznej.

Początkowo przygotowanie mleka dla niemowląt odbywało się na każdej Stacji „Kropli Mleka". Dopiero w roku 1932 scentralizowano tę czynność w jednej Centralnej Kuchni Mlecznej przy ulicy Piotrkowskiej 103, gdzie przyrządzano mleko i mieszanki i rozsyłano je na poszczególne stacje. W ten sposób warunki przygotowania mleka ulepszyły się znacznie i produkcja okazała się tańsza.

Kuchnia Centralna „Kropli Mleka" została urządzona z legatu ś. p. Maksymiliana Wunschego a rozbudowana i zmechanizowana z subsydium Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Dążąc stale do usprawnienia działalności Kuchni zmechanizowano produkcję i zamieniono pracę dzienną na nocną, na skutek czego obsługa była szybsza i dostawa mogła odbywać się w godzinach wczesnych rannych bez narażenia dzieci na spożywanie przestarzałego pokarmu, a matek na stratę czasu.

W latach następnych, przy stałym przyroście korzystających z usług „Kropli Mleka", gdy zapotrzebowanie podniosło się do 1500 litrów dziennie mleka, pomieszczenie kuchni okazało się niewystarczające i Zarząd był zmuszony zająć się szukaniem obszerniejszego lokalu. Początkowo zamierzano lokal wydzierżawić. Ponieważ jednak odpowiedniego pomieszczenia nie znaleziono, uznano za korzystniejsze zająć się wybudowaniem własnego domu.

Towarzystwo opracowało plany i kosztorys budowy oraz urządzeń Kuchni Mlecznej, uzgodniło wszystkie problemy ze specjalistami w dziale mleczarskim i pozyskało od władz zatwierdzenie planów.

Budowę rozpoczęto w jesieni 1938 roku na placu ofiarowanym przez Zarząd Miejski i ukończono na wiosnę r. 1939. Do sfinansowania budowli przyczyniły się łódzkie zakłady przemysłowe, które udzieliły na ten cel awansu na poczet należności za opiekę, udzieloną ich pracownicom. W czerwcu b. r. została Kuchnia uruchomiona, a jej poświęcenie jest projektowane na jesieni tego roku, łącznie z obchodem jubileuszu 35 lecia „Kropli Mleka". Centralna Kuchnia Mleczna mieści się przy ulicy Sędziowskiej 18 w „Domu Kropli Mleka" i jest widomym dowodem wytężonej pracy w okresie minionego 35 lecia.

Zresztą liczne wycieczki na teren „Kropli Mleka" uczennic szkół średnich i słuchaczy Łódzkiej Wszechnicy są wyrazem zainteresowania się społeczeństwa pracą i działalnością tej instytucji.

Również stałe zwiększanie się liczby wspierających członków, oraz popieranie imprez są świadectwem wdzięczności społeczeństwa za wydajną pracę towarzystwa.

Z imprez tych urządzonych w roku spr. wymienić należy „Dni Kropli Mleka", w ramach których (od dnia 11 do 21 lutego) urządzono Wieczór Literacki, Zabawę Dziecięcą i Loterię Fantową.

W tych warunkach „Kropla Mleka" może się spodziewać, że jej uroczysty obchód 35 lecia na terenie Łodzi wywoła pełną wśród społeczeństwa świadomość, że praca tego Towarzystwa nie tylko znalazła sobie uznanie, ale że jest konieczna i niezastąpiona, a o pracy innych instytucji nie zawsze tak będzie można powiedzieć.



Stacja opieki nad Matką i Dzieckiem w Aleksandrowie Łódzkim

PRZED OKNEM KSIĘGARNI

Wacław Berent Zmierzch wodzów. Gebethner i Wolff. 1939

Wielkość dzieła biograficznego Berenta głównie na tym polega, że — poza wszelkim mistrzostwem formy — wykrywa ono żywą tradycję współczesnego bohaterstwa, w dwojakiej postaci: żołnierskiej i moralnej. Pod zmurszałą legendą, pod zwaliskami dawnych olbrzymów i zgoła teatralnych posągów dopatruje się pisarz heroicznego nurtu. Spojrzenie takie z zasady musi być obiektywne, dlatego osądy Berenta wypadają i in minus. Lecz swoje obrachunki z epoką przeprowadza pisarz nie na przedprożach magnackich lub w buduarach spraw intymnych, ale na rozległych polach, na których działa się historia. Jego rewizjonizm jest tedy wymierzaniem sprawiedliwości dziejowej (jak to zobaczymy na przykładzie charakterystyki W. Ks. Konstantego).

Ostatni tryptyk biograficzno-opowieściowy podejmuje sprawę wodzostwa w tych tragicznych chwilach, gdy nad Polską rwały się „być albo nie być". Z pola Marsowego zeszedł był właśnie „bóg wojny" a z nim wiarusy Dąbrowskiego: mazurek rozpływa się w tonach domowych kurantów i na plac Saski wkracza na czele wojskowej parady W. Ks. Konstanty. Charakterystyka tej postaci potwierdza, jak głęboko pojął Berent rolę pisarza: sędziego spraw epoki w imię najwyższych wartości moralnych. Konstantemu przywrócił rysy ludzkie, a nawet nie szczędzi mu zalet, by dowodnie wykazać, że i to nie pomaga, że i to nie stwarza warunków na wodza, skoro brak wewnętrznej sankcji. W. Ks. Konstanty jawi się naszym oczom jako człek niezgorszego serca, nienawidzący Rosji a rozmiłowany w polskości. Dobry administrator, służbista, idealny feldfebel na paradzie. Cóż, kiedy wodza nie stwarzają parady, wódz rodzi się w ogniu bitew i rany ma za chrzest. Dlatego W. Ks Konstanty nie zdołał pozyskać nad wojskiem polskim, które szło do zwycięstw pod wodzą Napoleona i Dąbrowskiego, moralnego przewodnictwa. Wzbudzał posłuch, lecz tylko służbowy. Związki głębsze zostały przy Dąbrowskim. Konstanty bawił się wodzostwem jak błyskotką, toteż bieg wypadków wytrącił mu rychło tę zabawkę z ręki.

Odegrał swoją rolę w historii i Dąbrowski, rzadko kiedy los pozwala swym wybrańcom po wielekroć wstępować na scenę. Dąbrowski tak zrósł się z epoką napoleońską, że brakowało mu jej (tak samo zresztą jak i Chłopickiemu) do pełnego wyjawienia swych sił. Pozostał jednak cenny ułamek, który jak magnes ściąga młodych: poczucie odpowiedzialności za naród i świadomość moralnej strony czynu dokonanego.

Tę świadomość ma też Niemcewicz. I gdy wodzowie emerytowani lub kukiełkowi schodzą z widowni i rozpoczyna się ciężka epoka bezhetmańska, autor „śpiewów historycznych" przejmuje na się rolę duchowego wodza, otwierając tym nowy jakiś wielki szereg bohaterów. W przyszłych dziejach narodu wykształciło się najgłębiej chyba na świecie pojęte znaczenie wodza: bezkrwawego władcy dusz, ognistego proroka, króla-ducha stwarzającego z mocy wewnętrznej prawa wolności.

Tak ustanawia Berent głęboką zależność między polską szablą a polskim piórem. Nie była szabla bronią łupieżczą: krwią pisała manifesty wolności. A pióro nie zapleśniało w kałamarzu: broniło wolności i wyrąbywało nową Polskę, było duchową szablą.

A to jest właściwa rola oręża i właściwe przeznaczenie pióra.

Konrad Haemmerling Był człowiek, co się Shakespeare zwał. Książnica-Atlas. 1939

Haemmerling dał trudności nie lada. Więcej wiadomo w jednym dniu w życiu Goethego, niż o całych latach Szekspira. Te niepewności dały powód najrozmaitszym biografom dramaturga do snucia przeróżnych domysłów i spekulacyj. Nie inaczej też postąpił Haemmerling: musiał wypełniać luki w wiadomościach o Szekspirze, powiązać fakty i anegdoty z treścią jego utworów. Jednakże przy tym wszystkim wziął kurs na maksimum prawdopodobieństwa psychologicznego, na interpretację, idącą od utworów do życia, więc od wewnątrz do faktów zewnętrznych. To, powiedziałbym, wewnętrzne wyczucie Szekspira, intuicja artysty dały znakomite rezultaty.

Czy Szekspir był takim, jakim go w dwutomowym dziele Haemmerlinga widzimy? Nie wiadomo. Ale to pewne, że takim mógł być. Epo-

ka elżbietańska, pełna wielkich wydarzeń historycznych, namiętności i zbrodni, zdaje się być jedyną oprawą dla tak znakomitego portretu. Syn chłopski, noszący w swojej krwi najgłębszą miłość Anglii i gleby wiejskiej, przerasta bystrą obserwacją, zaletami inteligencji i moralnością wszystkie warstwy, ogniskuje w widzeniu ówczesnych spraw istotę ducha angielskiego.

Wyczuwał tego ducha najwcześniej i najgłębiej. Dlatego w porę podsunął żądnej emocji widowni dramat narodowy. Z kronik i najrozmaitszych wymysłów literackich narodów obcych brał tylko ogólne plany i intrygi, schematy dalekiego podobieństwa, ale raz zdobywszy ten pomocniczy klucz schodził z nim jak bóg olimpijski między londyńskie wydarzenia, dramatyzował wypadki, dawał im głęboką treść. Do atramentu wmieszał też wiele własnej żółci i wiele własnych łez. Wykrywanie osobistego podłoża (np. stanowcze ustalanie osoby „czarnej kochanki" z Sonetów) w utworach Szekspira, jakie Haemmerling ciągle czyni — jest ryzykowne, a często naciągane. Ale nikt nie zaprzeczy, że takim Szekspir mógł być i że tego rodzaju interpretacja ułatwia nam bardzo rozumienie autora „Hamleta".

Całość jest tworem — z podkreślonego punktu widzenia — pierwszorzędnym, świetnie spolszczonym przez prof. T. Sinkę.

G. Rewzin. Kolumb. Warszawskie Wydawnictwo Współczesne, 1939.

Kolumb i Kopernik to dwa jakby orientacyjne słupy na pograniczu scholastycznego średniowiecza i czasów nowożytnych. Kopernik wyzwolił z pęt świadomość ludzką, zrewolucjonizował umysły; Kolumb skutkiem swego odkrycia zburzył ład gospodarczy, a co za tym idzie, i społeczny średniowiecza. Patrząc tedy na osoby tych wydarzeń z punktu widzenia epokowych skutków skłonni jesteśmy samej postaci nadawać legendarne wymiary.

Tak jest w odniesieniu do Kolumba. Tymczasem wśród wielkiej pasji żeglarza-odkrywcy był to człowiek dość małego formatu. Wyprawa jego w poszukiwaniu „Indyj" była oczywiście na te czasy rzeczą heroiczną, lecz nie zapominajmy, że została przedsięwzięta w celach łupieżczych. Zachowanie się Kolumba i jego następców na terenach zdobytych na zawsze będzie hańbą Europy.

Lecz mechanizm zdarzeń, sprowokowanych przez odkrycie Kolumba, działał już z nieubłaganą konsekwencją, tworzył nowy świat — i na tym polega znaczenie czynu żeglarza. Olbrzymiało ono wraz z oddaleniem czasu.

W. R. Maxwell. Vivien. — Nowe życie Vivien. — Zwycięstwo Vivien. Powszechne Towarzystwo Wydawnicze, 1939.

Powieść popularnego beletrysty angielskiego — aż w trzech tomach — stanowi rozrywkową lekturę w dobrym stylu. Potoczyście opowiedziane są losy zbiedniałej i osieroconej panny, lecz oczywiście z dobrego domu, zmuszonej walczyć o los. Ma wszystkie atuty po swojej stronie, by zyskać sympatię czytelnika. Rzecz dzieje się przed wojną i toczy w kołach arystokracji ziemiańskiej oraz w Londynie. Autor skorzystał z okazji, by dość szeroko i barwnie przedstawić to życie, które Vivien straciła, lecz odzyskuje nietyle może w walce o swój los, co z ręką, zakochanego oczywiście, księcia.

Miłe to wszystko i dobre na słotny czas.

G. T.

Z ŻYCIA ŁODZI

Odczyt prez. J. Kwapińskiego

Z inicjatywy Biblioteki robotniczej im. A. Struga prez. m. Łodzi Jan Kwapiński wygłosił dn. 11 V. 39 r. odczyt p. t. „Dziewięć lat katorgi".

Był to sugestywnie i barwnie podany szereg wspomnień znanego i zasłużonego niepodległościowca. Przeszłość Kwapińskiego to piękna karta w walkach socjalizmu o Polskę i wolność, dlatego wszystko, co mówił, miało wagę dokumentaryczną. Wstawał ze słów opowieści heroizm czynu bojowca i romantyzm dawnych walk. Sala zamierała we wzruszeniu, a niekiedy dawała się porywać wielkości minionej historycznej chwili.

Prelegent umiejętnie wprowadził słuchaczów w czasy porewolucyjne. Kryjówki nielegalne, pozostające pod opieką p. Aleksandry Piłsudskiej, zostały wykryte, trzeba było tworzyć nową sieć konspiracyjną. Po zamachu na gubernatora łódzkiego Kwapiński przyjechał do okręgu częstochowskiego, by tu po skompletowaniu oddziałów bojowych w Zawierciu, Częstochowie i Rakowie zdobyć książki paszportowe dla bojowców, udających się zagranicę. Było to 23 kwietnia 1907 roku. Książki zdobyto w Wadowicach, ale w czasie odwrotu Kwapiński został ujęty.

Następuje teraz szereg dramatycznych scen. Bicie na śmierć. Męka w areszlach. Daremna próba ucieczki i oczekiwanie wyroku.

Z więzień prowincjonalnych do X Pawilonu, tego uniwersytetu polskiego rewolucjonizmu. Tu oducje Kwapiński z bohaterstwem, rozpryskanym krwią po murach, zaklętym w napisy tajemne i w wypuktwane „długie nocne rodaków rozmowy". 6 grudnia pada wyrok: pozbawienie praw i kara śmierci przez powieszenie. Truchleje młode ciało i chociaż niezłomny jest duch rewolucjonisty, pasma przedwcześnie osiwiałych gęstych włosów sypią się na bolesnie załamane ręce. Pewnego dnia ułaskawienie: 15 lat katorgi.

Znowu cała odyssea aresztancka, zanim Kwapiński z towarzyszami dostaje się do Orła. Siedem lat w pojedyńczej celi. Straszne nieludzkie lata. Więźniów bito i głodzono, znęcano się nad ich polskością i człowieczeństwem. Najtężsi duchem padali. Lecz w tych zmaganiach dodawało otuchy jedno słowo: ojczyzna. Raz na miesiąc przyjeżdżał ksiądz i nabożeństwo było duchowym podniesieniem Polaków.

Ale warunki katorgi stawały się nie do zniesienia. Próbę ucieczki złamano okrutnym terrorem: 9 zabito, stu kilkudziesięciu postrzelono, 180 zsieczono rózgami.

Lecz wybucha wielka wojna. Rosną nadzieje niepodległościowe — i w więzieniu. Słowo ze świata mówi o bliskim odrodzeniu ojczyzny. Aż wiatr rewolucyjny otworzył wrota więzienne i wyprowadził Polaków na wolność.

Jubileusz zasłużonego księgarza

W roku bieżącym przypada 35-lecie pracy księgarskiej Włodzimierza Pfeiffra, szeroko znanego w sferach łódzkich z ofiarnej pracy na rzecz rozwoju księgarstwa w Łodzi. Miłośnik książki skupia w sobie najlepsze cechy księgarza z powołania i zawodu, zrasta się z dziejami ruchu wydawniczego w Łodzi i reprezentuje jego dobre tradycje.

Urodzony w Płocku dnia 25 listopada 1890 Włodzimierz Pfeiffer wstępuje w r. 1904 na praktykę do łódzkiej księgarni wydawniczej Ludwika Fiszera, którą kończy po czterech latach, pracując nadal pod kierunkiem Pawła Mixa.

W styczniu 1920 r. Wł. Pfeiffer obejmuje dział sortymentu książkowego w wydawnictwie. W połowie września 1922 r. organizuje filię księgarni Fiszera w Katowicach. W marcu 1923 r. wraca do Łodzi i w niedługim czasie otrzymuje z rąk Kazimierza Fiszera prokurę.



Włodzimierz Pfeiffer

Po likwidacji księgarni Fiszera Włodzimierz Pfeiffer z dniem 1 października 1932 r. obejmuje stanowisko kierownika sortymentu w nowopowstałej księgarni „S. Seipelt", mieszczącej się w tymże co dawny Fiszer lokalu. W pracy tej jubilat kładzie znaczne zasługi.

Uzupełnieniem działalności Włodzimierza Pfeiffra jest zbieranie pamiątek z okresu wielkiej wojny, których bogate zbiory ofiarował w r. 1935 gminie łódzkiej, oraz poświęcanie się fotografii.

W tym ostatnim zakresie Włodzimierz Pfeiffer zdobył poważne osiągnięcia. Zwłaszcza znakomite są jego fotografie z terenu Łodzi, które postawić można w rzędzie naszych najlepszych prac fotograficznych. „Fotografia ojczysta — pisze o Pfeiffrze w „Przeglądzie Fotograficznym" Jan Bułhak — niewątpliwie zyska w nim jednego ze swoich kapitalnych rzeczników". Od r. 1938 Włodzimierz Pfeiffer prowadzi łódzki dział ilustracyjny w „Wymiarach", jednając sobie fotografiami z terenu Łodzi zasłużone uznanie Czytelników.

Owocna działalność Towarzystwa Przyjaciół Nauk

W roku bieżącym Towarzystwo prowadziło ożywioną akcję wykładową. Sygnalizowaliśmy już pierwsze tematy. W uzupełnieniu podajemy dalsze: dn. 15—17 marca miały miejsce posiedzenia połączonych sekcyj naukowych towarzystwa, na których prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Witold Wilkosz, mówił o logice nowoczesnej; dn. 19 kwietnia odbyło się posiedzenie sekcji nauk humanistycznych T-stwa z odczytem prof. Alfreda Bossego p. t. „Zaranie komedii greckiej"; 28 kwietnia T-stwo zwołało walne zgromadzenie wszystkich członków, na którym — w części publicznej — przemawiał Prezes T-stwa oraz wygłoszony został odczyt p. Zygmunta Hajkowskiego p. t. „Artur Gliszczyński, poeta łódzki"; wreszcie 23 maja odbyło się posiedzenie sekcji nauk humanistycznych Towarzystwa z odczytem dra. Andrzeja Niesiołowskiego p. t. „Doktryna Pawła Włodkowicza a germańskie średniowiecze".

G. T.

NURTY DNIA

Gdy ojczyźnie grozi niebezpieczeństwo agresji, gdy sąsiednie mocarstwo mobilizuje ogromne siły do walki z nami, to jest już ostatni znak, aby wewnętrzne sprawy państwa uporządkować w poczuciu ogromnej odpowiedzialności za dzieje narodu wobec historii. Ten zwrot nie jest obcy ani naszym ustawom zasadniczym, ani frazeologii politycznej. Frazeologia nie stanowi jednak o niczym. Każde państwo posiada literaturę, w której upaja się swoim bohaterstwem, siłą, wartością i powoływaniem na przyszłość. Jeśli nie ma za sobą wielkich zwycięstw w niedawnej przeszłości, wygrzebuje się ze średniowiecza bijatykę na maczugi i miecze. Rozdmuchuje się następnie tak zamierzchłą historię do pożądanych rozmiarów i też jest wymowa dziejów, jako patetyczny argument na wodę frazeologii. Jeszcze łatwiej to idzie, gdy naród naprawdę ma za sobą czyny zdumiewające swoją niezwykłością i naturalnym rozgłosem. Grunwald i odsiecz Wiednia mają dla Polaków znaczenie symboliczne i są poza tym motorami pewnych zbiorowych procesów patriotycznych, ale są tym wszystkim i bez propagandy. Świadomość tych faktów, tak chlubnych dla naszego narodu, jest w nas żywa zawsze i w razie niebezpieczeństwa zewnętrznego, oddziaływa jak cement, utwierdza naszą zbiorową *pewność siebie*. W państwach totalistycznych natomiast propaganda zawsze szafuje hojnie słowami które tylko w wypadkach wyjątkowych znaleźć się powinny na ustach. Bóg, ojczyzna, misja dziejowa, odpowiedzialność za losy świata (!), (a więc nie tylko za losy własnego narodu), odpowiedzialność za kulturę i cywilizację, to wszystko pędzi jak tabun dzikich koni, porywa swą patetyczną wymową masy i rozpuszcza przeraźliwie koło historii, pod trybami którego wszystko musi ulec zmiażdżeniu i unicestwieniu.

Ten patos jednak, który podniósł na razie z ziemi naród włoski i zjednoczył naród niemiecki, aż stały się przez pewien czas jedną wolą i jednym dążeniem, aż objęły wszystkie prawie umysły i zapaliły utajone, stare instynkty, jest sztuczny, jest nieprawdziwy, jak każdy patos. Wysunął on na czoło dwu narodów dwie jednostki, być może, że zdolne i pracowite, ale w obecnej chwili obarczone zbyt wielką odpowiedzialnością, pod którą muszą się załamać, tak samo jak Napoleon. Nie ma bowiem już tych czasów, kiedy Rzym z tak wielkim powodzeniem mógł dokonywać podbojów terytorialnych. Świat ściślej napełnił się ludźmi, równowaga sił jest dzisiaj bardziej delikatniejsza, cywilizacja związała ludzi ze sobą przez radio, kino, telefon, telegraf, dzienniki. Wymiana wzajemna dóbr kulturalnych i materialnych czyni nas mimo granic państwowych obywatelami całej kuli ziemskiej. Będąc członkami różnych narodów wiążemy się niedostrzegalnie ze sobą tysiącami wspólnych nici i nic nie poradzi na to, ani cło, ani zakaz z groźbą użycia siły w razie niestosowania się do jego wymagań. Walka polityczna przeniosła się na eter. Słowo opływa cały świat, dociera do każdego osiedla i każdego domu. Cóż z tego, że dyktator ciska się i sam ryczy regularnie w paroksyźmie wściekłości przez mikrofon. Podejdzie ktoś inny i spokojnie z powagą odpowie. Jest śmiech, patos tamtego pryska, niedawny entuzjazm ustępuje u wielu ludzi spokojnemu rozważaniu. Czasy klasyczne zeszły z widowni dziejów na zawsze. Dziś dyktator nie tylko ma większą odpowiedzialność, ale i większe trudności w opanowaniu mas, karne szeregi uginają się nie tylko pod wpływem obcej propagandy, ale i pod wpływem oczywistej prawdy w chwili zastanowienia się nad rzeczywistością. Wystarczy myśleć logicznie i konsekwentnie, a i to może się zdarzyć nawet w Niemczech, gdy na chwilę ustaje zbiorowy stadny entuzjazm, atmosfera rozprażonej ulicy, religijna w sensie zupełnie pierwotnym ekstaza tłumów. To wszystko jest jak jedna beczka prochu, gotowa każdej chwili wylecieć w powietrze. Okropna, akulturalna atmosfera rozparła się na całym świecie hitleryzmem i faszyzmem. Odczuwa się ją też w Polsce; na ulicach rozmowa o wojnie, w domu to samo. Każdy moment naszego życia pławi się w tej atmosferze jak w błocie podejrzanego pochodzenia.

Każde nowe przedsięwzięcie bierze za punkt wyjścia nowe możliwości. Nie wiadomo jest ani godzina, ani minuta, kiedy zabijemy w sobie resztki człowieka i jak mieszkańcy jaskini pójdziemy się mordować nawzajem. Nie będzie to polowanie lwa, ani tygrysa, polowanie dla zdobycia koniecznego pokarmu. Nie będzie to walka, którą przewidziała przyroda. Rzeź ta chyba będzie w swej pierwotnej, *napastniczej przyczynie* bez sensu. *Odpowiedzialność za obecną atmosferę, a więc i za jej rozładowanie* spada wyłącznie na politykę Niemiec i Włoch, tym bardziej, że prowadzą walkę na nerwy terrorem psychicznym, szantażem, zaskoczeniem bez uprzedzenia, walką bez wypowiedzenia. Żyjemy tak obok smoka groźniejszego od każdego jego protoplasty z legendy. Ten smok niszczy nasze życie duchowe, bo je zatruwa różnymi truciznami, pragnie wyczerpać nas nerwowo, aby potem na osłabionych i zmęczonych spaść jak piorun. Czy jest gdzieś jeszcze taka bestia, która w ten sposób czatuje na ofiarę. Czy jest gdzieś jeszcze taka podłość, która krwiożerczy instynkt ubiera we wzniosłe hasła nacjonalizmu, świętych praw narodu, posłannictwa od Boga? Trudno to sobie wyobrazić i uzmysłowić, więc bez wahania odpowiadam — nie. Jesteśmy więc tym bardziej w większym niebezpieczeństwie, a ono nie pozwala, aby *słowa konstytucji, aby odpowiedzialność za losy narodu i państwa wobec Boga i Historii*, spadające na obecne pokolenie Polaków miały tylko znaczenie frazeologii. To jest dziś najbardziej rzeczywista rzeczywistość, której podołać musimy *wspólnie*. Państwo polskie i wszystkie jego imponderabilia są własnością wszystkich jego konstytucyjnie uznanych obywateli. Nie może być w tych warunkach monopolu na patriotyzm, bo nie tylko monopoliści bronić będą kraju przed wrogiem. Nietakt i egoizm w tak trudnej sytuacji politycznej może być tylko gwoździem do trumny. Strasznie jest jednak wielu grabarzy z powołania. Ostrzegamy przed grabarzami!

Tadeusz Sarnecki

PRZEGLĄD PRASY

Dzisiejsze czasy smutne przynoszą dokumenty kultury. To wszystko, co na jej nazwę zasługuje jest dzisiaj w wyraźnym odwrocie. Rzecz jest zastanawiająca, gdy się zważy, że nigdy też tyle o niej nie deklamowano. W tym względzie szczególnie ciekawe jest stanowisko polskiej prasy nacjonalistycznej. Zwalcza ona w sposób zdecydowany te objawy kultury, które są świadectwem niemoralnych wpływów żydowskich i masońskich. Tępi ta prasa to wszystko, co tchnie atmosferą kosmopolityzmu i międzynarodowości. Na miejsce wspomnianych tendencji wysuwa się następujące pierwiastki: 1) ideę narodową jako przeciwstawienie żydowskiemu kosmopolityzmowi; 2) etykę chrześcijańską jako przeciwstawienie talmudycznej moralności żydów; 3) tematykę związaną z interesem narodu jako przeciwstawienie zagadnieniom ogólnoludzkim. Sądzę, że oddałem dość wiernie idee kulturalne polskiego nacjonalizmu i z tej racji zasługuję na specjalną pochwałę zwłaszcza ze strony łódzkiego „Orędownika", na czym mi szczególnie zależy (przypuśćmy). Zobaczmy jednak dla pełności obrazu, jak w projektach i realizacji wyglądają te wszystkie zamierzenia nacjonalistów.

Idea narodowa jest głównym atutem dla propagandy. Dlatego powstało Stronnictwo Narodowe, aby ją zrealizować w państwie polskim. Stronnictwo to zarzuciło swą starą nazwę Narodowej Demokracji. Nie jest już demokratyczne, jest nawet antydemokratyczne. Demokrację wymyślili żydzi, jest więc to stronnictwo antysemickie, zresztą żydzi są winni wszystkiemu złu. Chcieli swego czasu osłabić i zgubić Niemcy (oby, oby — powie dziś niejeden, niestety!), ale ich Hitler wziął za łeb, czemu bardzo skwapliwie przyklaśnięto w Polsce i na znak uciechy wybito kilka szyb w sklepach żydowskich. Tylko że zabawę popsuł tenże sam Hitler, bo po żydach wziął się do Polski. Dziś ukuto nawet w Niemczech specjalną dla nas nazwę — biały żyd. Tak się nazywa tych, którzy nie chcą oddać Gdańska i województwa pomorskiego. Ponieważ narodowcy są największymi patriotami więc to oni zatrzymali Hitlera w zwycięzkim pochodzie na wschód, ale są też dlatego białymi żydami. I trochę słuszności w tym jest, gdy się weźmie pod uwagę Stasia Piaseckiego z „Prosto z Mostu" (oby skoczył do najbardziej polskiej rzeki — Wisły). Naród polski według nacjonalistów jest najpotężniejszy, najbardziej twórczy, ale pozostaje w niewoli żydowskiej nawet pod względem kulturalnym. Tę „prawdę" szerzy się gdzie popadnie i teraz na podstawie samej prasy narodowej może sądzić zagranica, że wszystko robią tylko żydy (ale dlaczego nie robią wszystkiego Polacy?). Nasze pismo należy do najbardziej atakowanych przez brukowy odłam prasy nacjonalistycznej i jaki jest tego skutek, oto fragment notatki z „Dnia Polskiego" w Kownie. „Zdezawuowany przez „Prosto z mostu", jako pismo żydowskie, zapełniane, redagowane i wydawane przez żydów, łódzki miesięcznik społeczno-literacki „Wymiary". przynosi w zeszycie grudniowym artykuł pióra ppułk. Wacława Lipińskiego" i t. d. To znaczy, że ja jestem żyd (wydaję pismo), dziwny żyd, bo nieobrzezany, Grzegorz Timofiejew żyd — też nieobrzezany i Leon Pomirowski; Jerzy Zawieyski, Stanisław Helsztyński, Zofia Siwicka, Kazimierz Wierzyński, Miłaszewski i t. d. wszystko same żydy. Ta idiotyczna, zacietrzewiona nienawiść do wszystkiego, co polskie, reprezentowana przez pół-żyda Piaseckiego pozbawiła nas na jakiś czas rynku litewskiego, gdzie sporo szło egzemplarzy naszego pisma, niosąc słowo polskie między naszych rodaków. Stasio Piasecki powiększył w ten sposób oddziaływanie kultury polskiej (albo i nie — jak uważacie?).

Jest też takie pismo „Tęcza", nienawidzi ono demokracji czemu dało wyraz w notatce o pismach demokratycznych. Znajdujemy w niej takie kwiatki. „Zrazu były próby stworzenia jednego wielkiego pisma literacko-społecznego w Warszawie. Działała Wanda Wasilewska i cała *zgraja młodych „demokratów"*, „...w Łodzi *grasują* „Wymiary". „Pod pretekstem literatury i sztuki będzie się lumanilo *zjełczałym demokratyzmem* tutejszych snobów, a przy tej okazji froncik frontowo-ludowy. (Sic!) zmontuje się też". „Ale na przeszkodzie stawała czynna opinia publiczna i policja. (Sic!)".

Etyka chrześcijańska otrzymała w tej notatce mocny policzek, bo nie dość, że z idei narodowej robi się hocki-klocki, ale i z etyki chrześcijań-

TREŚĆ DWUNASTEGO NUMERU „WYMIARÓW“

●

„Wymiary" ukazują się co miesiąc, prócz lipca i sierpnia.

Prenumerata roczna (10 numerów) zł 9.—; półroczna (5 numerów) zł 5.—

Cena numeru pojedyńczego zł 1.—

Należność za prenumeratę wpłacić można załączonym przekazem rozrachunkowym nr 56 lub zwykłym przekazem pocztowym.

skiej kpi się niemal cynicznie. Wystarczy na jeszcze jeden dowód przytoczyć kilka tytułów wzmianek prasowych „Orędownika": *„Miesięcznik „Wymiary" chce się odegrać". „Gazeta Polska" „podziękowała Timofiejewowi". „Megalomańsko-reklamiarski chwyt „Wymiarów", redagowanych przez p. Grzegorza Timofiejewa przy współudziale żydów"* „Timofiejew i Koltoński" et cetera. Przy każdej sposobności urządza się na mego kolegę redakcyjnego polowanie z nagonką. Jako naganiacze służą dawni przyjaciele, oświadczenia pewnych towarzystw naukowych oraz większe grono czytelników „Orędownika". Przy tym wszystkim wiele spraw uchodzi „Orędownikowi" bezkarnie. Spotykamy na przykład taką notatkę: „Polskie społeczeństwo Łodzi osądza imprezę „Wymiarów" (chodzi o wieczór poetycki Wierzyńskiego przyp. red.) redagowanych przez Grzegorza Timofiejewa, jako próbę odegrania się w opinii publicznej przez wykorzystanie nazwiska znanego poety, a równocześnie jako wkroczenie na teren, na jakim od szeregu lat pracuje z pożytkiem Towarzystwo Polonistów, kierowane przez dr. St. Skwarczyńską i prof. Jakubowskiego, które urządza odczyty i wieczory autorskie". Przedstawiciele tego towarzystwa wyjaśnili, że wzmianka poszła bez ich zgody, ale takiego oświadczenia nie wydrukowali nigdzie, utrzymywała się więc nadal opinia, zwłaszcza, że nieraz „Orędownik" zasłaniał się polonistami, jakoby „Wymiary" wkraczały stale na teren ich prac. Zresztą Towarzystwo Polonistów dziwną w Łodzi odgrywa rolę. Wydaje dodatek literacki w „Kurierze Łódzkim" pod redakcją Jana Zygmunta Jakubowskiego i ani razu nie wspomina o „Wymiarach", choć zawierały ciekawe materiały właśnie dla polonistów, choćby takie, jak Helsztyńskiego „Przybyszewski jako kierownik literacki „Lektora"). Z tego wysnuć można tylko dwa wnioski, że albo polonistów nastawionych specjalnie na Łódź nie interesują łódzkie zjawiska kulturalne, albo celowo przemilcza się z pewnych względów naszą działalność, mając w tym swój złośliwy cel. Dziwić to może bardzo, jeśli się zważy, że naukowiec musi być objektywny, mnie to jednak nie dziwi. „Dodatek literacki" w „Kurierze Łódzkim" jest wypełniony z małymi wyjątkami przez duet autorski Skwarczyńska-Jakubowski, w samym zaś Towarzystwie panuje atmosfera wzajemnej adoracji z nadmiernym uwielbieniem jednej tylko osoby. Widocznie nie nadaję się do takiej grupy ludzi, skoro nie ściągnięto ode mnie ani jednej składki, skoro mnie, jednego z założycieli oddziału Towarzystwa Polonistów w Zamościu, a więc jednego z pierwszych w ogóle w Towarzystwie nie zawiadamia się o imprezach Towarzystwa i nie zaprasza się na nie. Przy takiej atmosferze organizacyjnej nie może być też inaczej na zewnątrz w publikacjach prasowych. A szkoda, bo to interes prywatny nie zawsze pokrywa się z interesem publicznym. Wracajmy jednak do prasy nacjonalistycznej. Nie przestała nam ona jeszcze wypominać naszego stanowiska w sprawie Czechosłowacji. Wyraziliśmy we wrześniu roku ubiegłego ubolewanie z powodu nacisku na nią brutalnej siły germańskiej. Przewidywaliśmy jej tragedię. Wyrażałem ja sam z tego powodu żal, bo uważam że źle się dzieje, jeśli słowiańszczyzna coraz bardziej poddaje się w niewolę kulturalną i polityczną Niemcom. To moje załamywanie rąk nad Czechosłowacją podchwycił Marian Piechal i ogłosił w „Kurierze Porannym" list pod tytułem „Łódzki Kozdoń", w którym awansowałem na renegata i zdrajcę ojczyzny. W związku z tym oświadczam, *słów swoich nie żałuję,* Czechosłowacji w dalszym ciągu współczuję, na *jej okupację przez Niemców nie zgadzam się, czekam w dodatku z niecierpliwością na wyzwolenie Czechosłowacji spod jarzma niemieckiego.* Czy to jest jednak powód do wstydu i czy z tego powodu muszę podreperować swą reputację, bardzo wątpię. Niech się Panowie wstydzą, że pomagali i pomagają Niemcom, że wolą germanizację od obrony słowiańszczyzny. To wy zasługujecie na miano renegatów lub chorych umysłowo. Nie uznaję nowego stanu rzeczy na dawnych ziemiach Czechosłowacji. *Niech żyje walka o wyzwolenie wszystkich słowian spod panowania germańskiego! Precz z „Orędownikiem!". No i co na to powiecie?*

●

Wspomniany tu chlubnie „Kurier Poranny" napadł na Wincentego Witosa. Za to, że nie chciał zdradzić ojczyzny, choć czuł się przez nią skrzywdzony. Za to, że wrócił do niej przez zieloną granicę i zameldował się u prokuratora. Za to, że ma odwagę ponieść za swoje czyny odpowiedzialność, za to, że chce w tej ciężkiej sytuacji współdziałać z czynnikami oficjalnymi w dziedzinie obronności państwa. Tak głęboki dowód patriotyzmu został skrzywdzony przez interes partyjny p. Hrabyka. I to bezkarnie dzieje się u nas w tym czasie, gdy cały naród zbroi się psychicznie do walki na nerwy ze swym zachodnim sąsiadem. Widać, jak troska p. Hrabyka o losy państwa zapala go do odpowiedzialnej pracy dziennikarskiej. Więcej taktu wymaga obecnie sytuacja i więcej prawych charakterów. Czas likwidować wszystkie widma niechlubnej epoki przedrozbiorowej, kiedy warcholstwo z wielkimi słowami na ustach, likwidowało systematycznie siły żywotne Polski. Dzisiaj jej losy leżą w rękach całego społeczeństwa, a więc i w rękach najliczniejszej warstwy chłopskiej... Kościuszko doczeka się wreszcie realizacji swych wielkich marzeń.

●

Tych kilka uwag nasuwa jedno tylko pytanie — dlaczego to kierunki nacjonalistyczne nie posiadają taktu, i dlaczego czynną akcją tak często przeczą swym wzniosłym hasłom? Czy czasami nacjonalizm nie jest w praktyce i w słowie ujawnieniem wad narodu, które należy zwalczać. Bo przecież nie ma Polaka, który zaprzeczy, że naród Polski w państwie polskim musi być czynnikiem głównym i że on ponosi największą odpowiedzialność za swe losy. Kultura i cywilizacja polska musi też z tego powodu być odbiciem istotnych właściwości narodu, a nie mogą być one takie, o jakich mieliśmy sposobność mówić. Naród to znacznie poważniejsza rzecz.

T. S.

„WYMIARY" REDAGUJĄ: *Tadeusz Sarnecki i Grzegorz Timofiejew*

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOW.: *Tadeusz Sarnecki*

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: *Łódź, Kilińskiego 93 m. 19*

DYŻURY REDAKCJI i ADMINISTRACJI:

we wtorki każdego tygodnia od godziny 19 do 21

Telefony: drukarnia 214-64, red. T. Sarnecki 216-90, red. G. Timofiejew 278-00

Odbito w „Drukarni Polskiej" L. Mazurkiewicza i S-ki, Sp. z ogr. odp. w Łodzi, Kilińskiego 93, tel. 214-64